CENA 20 ZŁ

W numerze: Stanisław Telega, Aleksander Widera, Andrzej Wydrzyński

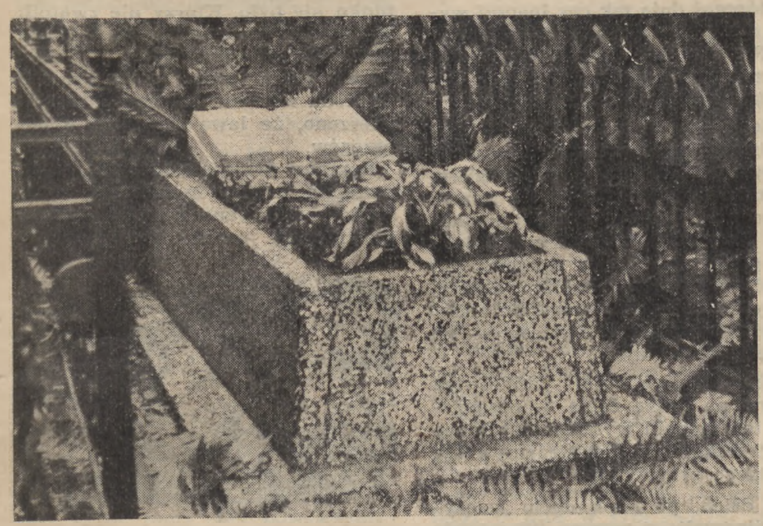
CZYTELNIK

Odra
tygodnik

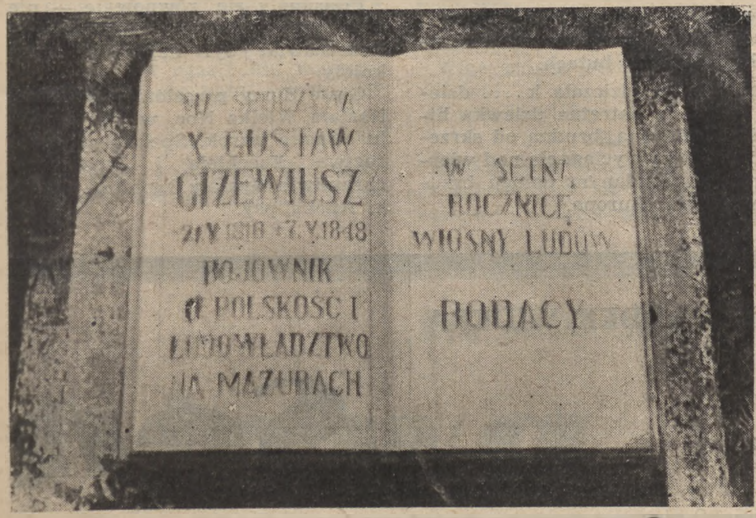
WROCŁAW — KATOWICE

NUMER 35 (144) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 29 SIERPNIA 1948 ROKU ROK IV

O pamięć Gizewiusza



Grób Gizewiusza w Ostródzie, uporządkowany staraniem Instytutu Mazurskiego.



Napis na grobie Gizewiusza.

ZOFIA ŻORECKA

Wiedza oświęcimska

Artykuł poniższy uważamy za jeden z sygnałów dyskusyjnych na temat Oświęcimia. Z surową oceną autorki co do wypowiedzi Jerzego Putramenta redakcja nie zgadza się. Problem Oświęcimia nie może być rozstrzygnięty jedynie na płaszczyźnie uczucia, stał się on częścią narodowego programu wychowawczego, stąd troski Putramenta.

„Nic nas nie wabi, nic nas nie nęci,
bo przyszłość każdego z nas dobrze jest znana
I w jednym słowie da się streścić — Oświęcim...
w tym słowie, co boli Polaka — jak rana."

(„Sonderabteilung" — Autor nieznany).

Nikt chyba tak trafnie nie wyraził prawdy o Oświęcimiu, jak ten nieznany autor naiwnego i prostego w formie, a przesyconego goryczą wiersza. Od początku istnienia obozu koncentracyjnego, Oświęcim był dla każdego Polaka straszliwą, bolesną raną, był nią nie tylko dla tych, którzy w nim odbywali nieludzką gehennę, nie tylko dla tych którzy w nim mieli swoich najbliższych, ale dla wszyskich, którzy o Oświęcimiu wiedzieli, a wiedzieli chyba wszyscy. I mimo tego, że już kilka lat upłynęło od zakończenia wojny, mimo tego, że bloki Oświęcimia stoją puste, że nie słychać w nich przeklętych, bandyckich nawoływań kapów i lagerführerów, Oświęcim nie przestał być ropiejącą, nie zagojoną raną, którą wspomnienia, publikacje, dokumenty, cała literatura rozjątrzyła, rozogniła, tak że trzeba by ją leczyć z niezwykłą mądrością i delikatnością.

Odbudowujemy Polskę zaprzątnięci zagadnieniami bytu politycznego i ekonomicznego, rozkopujemy ruiny, urządzamy wystawy, a problem Oświęcimia ciągle jeszcze jest otwarty i wymaga rozrachunku bardzo skomplikowanego nie tylko ze zbrodniarzami!

W Oświęcimiu powstało Muzeum. Muzeum, jakiego jeszcze nie było od początku świata. Ministerstwo Kultury i Sztuki przekazało teren obozu byłym więźniom. 4. VIII. 1947 odbył się w Oświęcimiu zjazd delegatów wszystkich państw F. I. A. P. P. celem omówienia projektu międzynarodowego muzeum ku czci ofiar poległych w walce z Niemcami. I od tej chwili rozpoczęła się dyskusja na temat, czym ma być Oświęcim. Były to przeważnie głosy poważne, od których jeden tylko odbijał tonem niefrasobliwego reportażu („Notatki o Oświęcimiu" — Jerzy Putrament — „Odrodzenie" nr. 28 r. 1948), który robi wrażenie, że autor przebiegł pospiesznie bloki muzealne, z takim mozołem zmontowane, zasięgnął języka u małego dzieciaka, chwycił za słowa niezręcznego przewodnika i swoje nieprzemyślane notatki puścił w świat. A tak nie wolno! Oświęcim to nie temat, który można opracować na tle jednego wywiadu z dzieckiem i przewodnikiem, to nie temat do interesującego i sensacyjnego reportażu, lecz to problem niezwykłej wagi, który trzeba śledzić długo i jeśli już swe wnioski do publicznej wiadomości podawać, to w sposób bardziej delikatny. Oświęcim to rana nie zagojona i nie wolno jej dotykać szorstko i twardo, bo nie zagoi się nigdy.

Właśnie dlatego, że Muzeum w Oświęcimiu powstało i rośnie na grobie $^1/_6$ ludności Polski. Oświęcim jest problemem niesłychanie trudnym, wymagającym pogodzenia i uwzględnienia krańcowych przeciwieństw i sprzeczności.

Gdy się rozważa zagadnienie Oświęcimia z punktu widzenia psychiki, zdrowia i równowagi psychicznej narodu polskiego — to chciało by się wysunąć jeden jedyny postulat, dyktowany instynktem samoobrony: zapomnieć, zapomnieć jak najprędzej, zapomnieć o tym miejscu ohydy, straceń i kaźni, które wzbudzają odrazę i zgrozę. Wszystko, co działo się w Oświęcimiu, wchodzi w ramy patologii zarówno ze strony oprawców, jak i ofiar; zarówno sadyzm oprawców, jak i bezmiar cierpień więźniów rozsadził granice normalności. W najtwardszym kowadle ludzkim, jakim byli wytrzymalsi więźniowie, Oświęcim musiał pozostawić ślady. Psychika ludzka nie jest z żelaza i szarpana w taki nieludzki sposób musiała ulec zachwianiu. Wszelkie zaś nierówności psychiczne zataczają sugestywnie szerokie koła. Wydaje mi się, że stanowczo nie doceniamy wagi problemu zachwiania równowagi psychicznej naszego narodu. Wszystkie rozważania na temat obozów koncentracyjnych nie uwzględniają dostateczne psychologii reakcji na tego rodzaju przeżycia. A przecież równowaga i zdrowie psychiczne w rozgrywce o byt na tle przemian ustrojowych jest zagadnieniem najważniejszym.

Literatura obozowa nie była wyrazem zdrowego milczenia, ale musiała istnieć! Jak z ropiejącej rany musi ropa odpłynąć, tak z duszy tych, którzy obóz przeżyli, musiała wypłynąć ta straszliwa treść. Literatura obozowa z całym swem realizmem była koniecznością psychologiczną, wyrosła z głębokiej potrzeby serca zarówno ze strony opowiadających, jak i słuchających, była wyrazem solidarnego zbratania się w cierpieniu przez współczucie i pociechę, ale też była — bądźmy szczerzy — wyrazem ulegania obsesyjnym urazom. Literatura ta nasyciła nas tak nieludzkimi okropnościami, że idąc za zdrowym instynktem samoobrony trzeba by się jak najprędzej z niej otrząsnąć. W zetknięciu z byłymi więźniami uderza jeden fakt jaskrawo, że ci, którzy wyszli z obozu mocni i silni psychicznie, którzy się nie załamali, są bardzo powściągliwi w opowiadaniu przeżyć obozowych. Każdy z więzniów, który wyszedł z obozu z nieprzetrąconym kośćcem psychicznym, nie chce pamiętać i choć wspomnienia nieraz dręczą obsesyjnie, walczy z nimi. Jest w tej powściągliwości zdrowy objaw. I nie może być inaczej. Oświęcim — to piekło, to „królestwo zła" gdzie nie ma Boga. („Obóz oświęcimski" R. Wiśniewski, więzień nr 9580).

„To noc bez końca, świtu nie ma.
Oczy od snu są oczadziałe
Jak Boży sąd nad trupią ziemią
Zapadła mgła nad Birkenau.

(„Noc nad Birkenau",
T. Borowski).



Oświęcim 1945. Stosy umęczonych ciał ludzkich, czekające na spalenie.

Jest jeszcze powód, dla którego lepiej by było zapomnieć o Oświęcimiu, powód natury psychologicznej. Jednym z kardynalnych praw psychologii jest fakt, że przekroczenie pewnej granicy bodźców powoduje otępienie i niewrażliwość. Jest to zjawisko daleko groźniejsze, niżby się mogło zdawać. Zanadto już oswoiliśmy się z okropnościami wojny i już nie robią na nas wrażenia rzeczy straszne. Fakt ten uderza w zastraszający sposób u młodzieży. Tym się też tłumaczy dewaluacja życia ludzkiego, lekceważenie sobie spraw, zdrowia i szczęścia jednostkowego. I to jest najstraszliwsza trucizna, którą hitleryzm zasiał w nasze dusze.



Brandhuber: Fragment.

To nie jest tylko teoretyczne przypuszczenie, ale wniosek ze skrzętnie obserwowanych wydarzeń, powiedzeń, zachowania się ludzi wobec nieszczęścia drugiego człowieka.

Gdy jedna z byłych więźniarek po powrocie z Ravensbrück szukając rozpaczliwie pracy w Gdyni nadmieniła w podaniu, że przeszła obóz koncentracyjny, referentka zrobiła suchą uwagę: „to nie ma znaczenia"; gdy nieszczęśni, wynędzniali przez kilkuletnią udrękę więźniowie, cudem niemal wrócili do swoich pustych lub spalonych domów, ani państwo nie było w stanie, ani społeczeństwo nie zdobyło się na szybką zorganizowaną pomoc, umożliwiającą im wypoczynek, powrót do zdrowia i możliwą pracę. Dwudziestojednoletnia Basia Pietrzyk — biedny „królik doświadczalny" z Ravensbrück — umarła w Zakopanem w maju 1947 roku na skutek przejść obozowych i na skutek przemęczenia i złych warunków materialnych po powrocie z obozu. Na próżno alarmowała świat lekarski dr. Zofia Mączka swymi rewelacjami o „Versuchungskaninchen" w Ravensbrück. Opieka nad byłymi więźniami do dziś nie jest wystarczająca... Można by w nieskończoność podawać przykłady otępienia na cierpienie i niedolę ludzką, na zatratę poczucia wartości życia ludzkiego, bo to nie tylko ta referentka w Gdyni mogła powiedzieć „to nie ma znaczenia". Takie itp. słowa nie zawsze głośno powiedziane — wiszą niecierpliwie na ustach tysięcy ludzi, zgonionych, zakłopotanych sobą, naprawianiem... czego? Wszystkiego, tylko nie szacunku i zrozumienia ceny i wartości życia ludzkiego. To otępienie dla spraw drugiego człowieka, to najzjadliwszy, bo najmniej świadomy cios hitleryzmu w psychikę naszego narodu!

Muzeum w Oświęcimiu otwarto 1 czerwca 1947 r. W zorganizowanie go włożono ogromnie wiele rzetelnego trudu. Na każdym kroku widać rosnącą troskę o to, by pogodzić różne sprzeczne, a konieczne i niezbędne założenia tego rodzaju muzeum, które nie ma żadnych wzorów, ani precedensów w historii.

Mogłoby się jednak zdawać, że istnienie takiego strasznego muzeum jest niepotrzebne.

Pocóż więc to skrzętne zbieranie wszystkich rekwizytów zbrodni, z którymi społeczeństwo już się otrzaskało, na które przestało już reagować i — nie oburzajmy się — według odwiecznych praw psychiki ludzkiej musiało przestać reagować?!

A jednak muzeum istnieje i musi istnieć jako zbiorowy grób I/6 ogólnej liczby ludności Polski. Nie będziemy w porządku, jeśli poprzestaniemy tylko na wciągnięciu tej cyfry w roczniki statystyczne! Zmarłym milionom więźniów należy się miejsce wiecznego spoczynku. Zmarłych trzeba czcić!

Wreszcie zgodnie z art. 4 dekretu celem Muzeum w Oświęcimiu ma być: „prowadzenie prac naukowo badawczych oraz gromadzenie dowodów i materiałów dotyczących hitlerowskich zbrodni".

„Potrzebna nam jest wiedza o rozmiarach dokonanego zła, tudzież o środkach zabezpieczających przed jego renesansem" — powiedział kiedyś Paweł Jasienica recenzując „Z otchłani" Zofii Kossak („Tyg. Powsz." nr 82). Wiedza o Oświęcimiu nie może być jednak tylko wiedzą muzeologa, szperacza, poszukiwacza „ciekawostek", jak mówi Putrament. **Wiedza o Oświęcimiu ma ocalić pojęcie bezwzględnej wartości człowieka**, którą mierzy się nie tylko stosunkiem do zbiorowości. Wiedza o Oświęcimiu ma więc spełnić najważniejsze zadanie wychowawcze i to nie tylko wobec naszego narodu. Nie o wzbudzanie i pielęgnowanie nienawiści i pogłębienie odwiecznej przepaści dzielącej nas od Niemców tu chodzi, ale o straszliwe memento dla ludzkości, o zmobilizowanie wszystkich sił do walki z tym, co do piekła oświęcimskiego mogłoby doprowadzić po raz wtóry. Hitleryzm ukazał, że człowiek omotany fanatycznie fałszywą ideologią, nie liczącą się z kardynalnymi prawami moralności, może dojść do zwierzęcego szału; zbiorowość opętana takim szałem niesie zagładę stokroć gorszą, niż kataklizmy żywiołowe. Hitleryzm ukazał, do czego prowadzi polityka, oparta wyłącznie na woli i sile i na systemie policyjnym. Hitleryzm jest ostatecznym, krańcowym, praktycznym skutkiem założeń polityki nowożytnej, które mimo klęski Niemiec nie znikły z powierzchni ziemi, mimo szumnie wykrzykiwanych od czasów Wielkiej Rewolucji praw człowieka. Dlatego wiedza o Oświęcimiu ma ustalić przekonanie nie tylko u nas w Polsce, ale i w całym świecie, że tylko szacunek dla człowieczeństwa może tworzyć fundamenty prawdziwej wolności i pokojowego współżycia ludzi na ziemi.

Z tymi wszystkimi postulatami Muzeum w Oświęcimiu musi się liczyć i niewątpliwie się liczy, choć nie jest to sprawa łatwa. Naukowe traktowanie zagadnienia muzeum wymaga rzeczowości, chłodu intelektualnego, wyeliminowania momentu uczuciowego, a to znów koliduje z postulatem zacierania pamięci o tym, co się działo w obozie i z postulatem cmentarza. Organizatorzy i kierownicy prac w Oświęcimiu z dyr. Wąsowiczem na czele zdają sobie doskonale sprawę z tych trudności i mimo to podjęli się próby godzenia tych sprzeczności i jeśli się uważnie rozwój Oświęcimia śledzi, to łatwo spostrzec, że rezultaty tych wysiłków są pozytywne. Uderza to szczególnie przy porównaniu wyglądu Oświęcimia „na początku", bezpośrednio po ukończeniu wojny, nim rozpoczęto jakiekolwiek prace muzealne, z obecnym stanem rzeczy.

Oczywiście, że Muzeum nie pozwala zapomnieć o tym, co się działo w obozie. Byłoby to sprzeczne z samym założeniem jakiegokolwiek muzeum. Ale licząc się z tymi wszystkimi niebezpieczeństwami psychicznymi, o których mówiłam powyżej, unika Muzeum — o ile na to pozwala dokumentarność i rzeczowość materiału — makabryzmu, nie gra na wyobraźni, nie szarpie nerwów. Na życzenie Zarządu Muzeum wyszedł zakaz zwiedzania Muzeum przez dzieci do lat czternastu. Cała zaś idea Muzeum zmierza wychowawczo do tego, ażeby wyniszczyć wszelkie niebezpieczne, zatrute hitleryzmem sugestie.

Każdego, kto znajdzie się w kręgu „żałobnych baraków ponad Soły brzegiem zielonym" („Oświęcim" — wiersz ze zbioru „Wiatr wolności", Warszawa 1942), ogarnia despotycznie atmosfera grobowej ciszy cmentarzyska: wieńce i kwiaty ciągle świeże przed ścianą śmierci, katakumbowy charakter IV bloku, urna z prochami z I krematorium na tle krzyża majaczącego we mgle mlecznego światła, krzyża, który stał się już ogólnoludzkim, najdostojniejszym symbolem cierpienia bez względu na wyznanie, żałobnie szumiące brzozy wzdłuż smutnej alejki, która miała być reprezentacyjnym — na pokaz — miejscem wytchnienia więźniów w czasie wolnym od zajęć, — wszystko to trzyma zwiedzającego w napiętym, uroczystym nastroju cmentarza. Atmosferą cmentarza przesiąknięta też jest druga sala bloku IV, przedstawiająca zagładę Żydów i nastrój ten podtrzymują przewodnicy, dobierani i przeszkalani z wielką i odpowiedzialną troską Zarządu. Są to ludzie spokojni, z tym dziwnym spokojem ludzi, którzy — przeżywszy obóz — już inaczej patrzą na świat. Z namaszczeniem oprowadzają zwiedzających, nie wahając się spełniać roli wychowawców delikatnymi napomnieniami, jak np. „tu — przed IV-tym blokiem — trzeba zdjąć czapki i zachować ciszę".

Jakże się różnią ci ludzie od tych pierwszych oprowadzaczy sprzed dwóch kiedy Oświęcim był trochę „sobiepański". Obok jednak tego nastroju cmentarzy od pierwszego zetknięcia się z terenem obozu, od chwili, kiedy oczy spoczną na zachowanym po dziś dzień straszliwym w swej przewrotnej mądrości psychologicznej napisie „Arbeit macht frei" i na równiutkich

(Dokończenie na stronie 4)



Oświęcim 1948. Katakumby, fragment Muzeum.

JERZY BAZAREWSKI

W lasach

Bimber, komary, dziki

Olecko, w sierpniu 1948 r.

Pociąg z Warszawy przychodzi do Olecka późnym wieczorem. Wyładowuję z wagonu bagażowego motocykl i słucham rozmowy w oknie wagonu 2 klasy. Dwie panie głośno mnie żałują. Że wysiadam w takiej głuszy. Ano wysiadłem.

Olecko zieleni się u wyjazdu ze stacji ścianami szpitala, zasmuca zrujnowanymi domkami, pachnie maciejką, żegna ojczystym szyldem „wina, wódki, likiery".

Księżyc wysrebrza drogę, motor coraz to podrywa zaspane po krzakach ptaki. Lasy bramują drogę strzeliście i dumnie.

W Czerwonym Dworze zaspany nadleśniczy częstuje bimbrem. Gdy odmawiam, patrzy podejrzliwie i nierozumiejąco. Argumentuje doskonałą dziczyzną, przywołuje do zabawienia gościa śliczną dziewczynę, po czym idzie spać zniechęcony i pijany. Swit strzela zza drzew różowym światłem. Niebo jest nieskazitelnie błękitne. Dziewczyna ziewa i zasłania brudną ręką wspaniałe zęby. Czy jest zamężna? Nie, ale miała dziecko. Umarło na jakieś tajemnicze krostki. Duże, brązowe oczy szukają zrozumienia. Dziecko żyłoby, ale w szpitalu powiatowym w Olecku nie było ceratek, nie było nic. Dzieci chore i jej piękne i tłuste kładziono razem. Gdy przy odwiedzinach nieśmiało (jak sądzę) zaprotestowała, sanitariuszka kazała jej zamknąć gębę. Więc zamknęła. A dziecko nazajutrz zamknęło oczy; niebieskie, dwumiesięczne.

Opędzam się komarom i słucham śpiewnej, Białorusią zalatującej mowy. Dziewczyna jest repatriantką zza Buga. Pracuje tutaj już trzeci rok. Pan dobry, tylko po pijanemu bije. Ale panią też bije, pociesza się Zosia.

Idę spać, aby się w południe obudzić doszczętnie pogryzionym i spoconym. — Nad lasami leży potworny upał, pełen komarów, przesycony dusznym zapachem malin. Gajowi i leśniczowie ćmą „fajkowy" w bibułce z napisem „Przemysł dla Wsi". Duży dom pachnie kurami i prosiętami. Zosia przynosi mleko w kubku poznaczonym czarnymi palcami. Do obiadu wyjeżdża wóda. Nie piję, więc rozmowa raczej nie klei się. Pani domu uśmiecha się zmęczoną twarzą i tłumaczy męża: tyle lat w tych lasach. Można zdziczeć. Dzieci gospodarzy, milcząca piętnastolatka z czupurnymi piersiami pod bluzką i tępy, chory chłopak, głośno siorbią chłodnik i rozganiają osłabłe z gorąca, nadlatujące z obory muchy.

O szóstej idziemy na dziki. Wilczyca Ara wyprzedza nas tanecznym krokiem i prycha na przepełzające węże. Lasy tu stare, wiekami wrośnięte w bagna. Nadleśniczy strzela nagle do ciemnej plamy wśród brzóz. Ara nie pomaga. Dzik ucieka zostawiając trochę krwi. Zapada wieczór. Komary tną każdy odkryty kawałeczek ciała. Twarz otula niewidzialna pajęczyna, ciało swędzi od potu. Gajowy spod Grodna skrada się powoli, powoli. Wycina się przez sekund kilka brązowym ostrym profilem i strzela. Dzik zostaje na polance. Między żółte kły sadowią się olbrzymie muchy.

Wracamy do światełek naftowych. Pijemy herbatę. Myję się w brudnawej miedniczce i układam się do snu. Za oknem trele i szelesty. Z dalekich chutorów dolatują tęskne gongi: aby odstraszyć dziki od kartofli i owsa.

Kalniszki, admninistratorzy rozmowa o polityce

Wypada tutaj zauważyć jedno, że ludność po lasach, wsiach chutorach i mieścinkach leżących odokoła Olecka, Gołdapu, Giżycka (obecnych Łuczan) nazywa wszystkich przybywających z terytoriów należących do nas przed 39 rokiem „ludźmi z Polski". Wypytywałem dlaczego tak mówią. Nie potrafili nigdy odpowiedzieć, albo czerwieniąc się mówili: tutaj są Mazury. Gdy zapewniałem, że te Mazury są odwiecznie nasze, często wskazywali ręką na całe olbrzymie prerie nieskoszonej trawy po pas i pytali, dlaczego jest tutaj za mało ludzi do zebrania tego drogiego w centralnej Polsce siana? Za mało jest ludzi istotnie. Za mało ludzi do żniw, do zaludnienia wsi przygranicznych, do pracy w bogatych lasach, w wyrastających tartakach państwowych.

Niejeden taki tartak spotkałem w Kalniszkach. Osada cicha i tylko gajówka ożywiona zaczęła przed paru miesiącami pykać lokomobilą. Znalazło się kilkudziesięciu robotników, znalazł się stary żubr z Białowieży — obywatel Piotr Runkiewicz, tartacznik od świerć wieku, postać pykniczna, hucząca basem, spalona na ciemną czerwień, plująca entuzjastycznymi bąbelkami śliny w rozmowie. Runkiewicz tartak uruchomił. Na placu poczęły rosnąć stosy materiału, maszyny pracują doskonale, ludzie od Pawła i Gawła zdyscyplinowali się i chodzą jak na sznurku, wypytywani o zarobki mówią o 15, 20, 25

(Dokończenie na stronie 3)

Co robią Niemcy?

Kronika sądowa i trudności denazyfikacji czyli o niepoprawnym życiu berlińskim

Zdarzyło się, że na berlińskiej tandecie pewien młody człowiek stanął sobie skromnie z boku i pokazywał nieskromne fotografie, chcąc je zamienić na żywność. Na fotografiach widać było nagie kobiety w maskach i w czarnych pończochach i namiętnych mężczyzn. Młody człowiek miał na głowie strzępy wysokiej czapki, ongiś Dietlowskiej armii właściwej tylko, później rozpowszechnionej w całej Wehrmacht. Nie było w tym wszystkim ostatecznie nic dziwnego. Kawalerowie i żołnierze przypinają sobie takie fotografie pluskiewkami nad swoimi łóżkami, jako pewien rodzaj realnego obiektu marzeń sennych, często też, jak stwierdza sądowy sprawozdawca „Berliner Zeitung" — Procontra, noszą je przy sobie „um sie bei Bedarf gleich zur Hand zu haben". Pokaż mi, żołnierzu, posiadane przez ciebie pikantne zdjęcia, a powiem ci, jaka jest twoja narodowość. U Amerykan zdjęcia te wykazują pewną skłonność do groteski, u Anglików są nadto „dotykalne", u Francuzów ostre i musujące, u Austriaków słodkawo - mdłe, u Niemców wreszcie zwierzęco-poważne. Polacy własnych zdjęć nie produkują, stąd trudno coś o nich powiedzieć. Tę typologię znalazłem u niemieckiego autora, ale problem jest tego rodzaju, że nie warto sprawdzać. Nasz młody człowiek w wehrmachtowskiej czapce miał zdjęcia francuskie. W trakcie zamiany, kiedy probował trzy serie zdjęć oddać za kilo marchwi i pół kila chleba, przyszedł policjant i młody człowiek powędrował na komisariat, gdzie udowodniono mu, iż za „rozpowszechnianie nieskromnych obrazków" grozi mu z tytułu § 184 kara taka a taka. Proces wykazał jednak, że fotografie trafiły nie do młodzieży, ale do starego wyjadacza obrzydliwości, którym okazał się właściciel kilka pęczków marchwi i pół kila chleba. Zatem nie było mowy o psuciu niezepsutych. Młodego człowieka skazano na 500 marek kary. Prokurator niezadowolony z wyroku wznowił proces. Rozprawa druga zatwierdziła wyrok pierwszej instancji, przy czym sąd oświadczył, że absolutnie nie ma sensu raz jeszcze wznawiać procesu, gdyż ze złożonych w aktach 50 zdjęć zginęło 15 i to najpikantniejszych. Gdyby sprawa się przewlekła, zniknie reszta zdjęć i młody człowiek wobec braku dowodów winy będzie miał prawo żądać odszkodowania moralnego. Dowcipna prasa podejrzewa gorliwego prokuratora o „wypożyczenie" sobie fotografii.

Ta maleńka historia — to codzienność berlińska. Za wiele wiemy o wielkiej polityce, dziejącej się wokół Berlina, a za mało o drobnych faktach życia codziennego, ilustrujących barwnie i prawdziwie każdą godzinę berlińską. Z prasy polskiej dowiedzieliśmy się o skandalu policyjnym w Berlinie. Władze okupacyjne zachodnie zamianowały sobie po prostu nowego komendanta policji, rezygnując z usług starego komendanta Margrafa (którego fotografia, n. b. jeszcze z krzyżem rycerskim na szyi, była swego czasu reprodukowana na tym miejscu). W ślad za tym poszły przesunięcia personalne w łonie policji. — Prasa demokratyczna przytacza liczne przykłady, że anglosaski komendant dr Stummp zwolnił od razu z pracy wielu znanych antyfaszystów, a przyjął byłych zawodowych wojskowych, zwolenników i współpracowników hitleryzmu. Ale to wszystko jest wielka polityka. Natomiast życie daje doskonały komentarz do tych przemian, w każdym razie niezauważona w tym młynie drobna sprawa, że policja dra Stummpa esesieje zarówno w formach szkoleniowych jak i w poglądach na Niemcy i współobywateli. I tu prasa dostarcza wielu przykładów. Jeśli przypomnimy sobie przy tej okazji niedawno stworzoną przez anglosaskich okupantów policję przemysłową, złożoną z samych młodych Niemców, obnoszących w tej swojej służbie nawet stare mundury SS z wyprutymi emblematami, szkolonych i dyrygowanych według metod obowiązujących właśnie w SS, to będziemy musieli stwierdzić, że drobne niezauważone najczęściej fakty z życia berlińskiego potwierdzają najlepiej obawy o esesyzacji Niemiec.

Dwóch chłopców zabiło chorą siostrę i — jeden z nich był uczniem masarskim — sprzedawało kiełbasy zrobione z zabitej. Co dzień trzydziestoletnie kobiety napadają na małe dzieci, udające się ze skromnymi sprawunkami do domu. Wydzierają im pół bochenka chleba, obdzierają z sukienek i ubranek. Broniące się dzieci spychają do kanałów lub rzucają między ruiny. Co dzień buszujące po ruinach bandy młodocianych zabijają, kradną, uprawiają rozpustę. Zabójstwa najczęściej zdarzają się w rodzinach. Studiowałem kronikę kryminalną w „Berliner Zeitung" na przestrzeni pięciu miesięcy. Na 80 z górą podanych zabójstw, dokonanych na tle rabunkowym i erotycznym, 60 przeszło odnosiło się do krewnych. Synowie przeważnie zabijają matki, narzeczone lub kochanki swoich chłopców, żony mężów. Zdziczenie wśród kobiet wydaje się być większe nawet. Celują w tym kobiety samotne, do lat 25 ogranicza się ono do wybryków erotycznych i drobnej kryminalistyki, w wieku od 25 do 40 kobiety zabijają, urządzają wielkie napady, przewodzą bandom. Cyfry oczywiście opieramy na luźnych jedynie obserwacjach dziennikarskich. W każdym razie i to zastanawia już.

Berliński dzień spędzony wśród ruin, w mieszkaniach zawalonych niepotrzebnymi gratami, zatęchłą jarzyną i kolekcjonowaną starą bielizną, oto co daje najwłaściwsze wyobrażenie o dzisiejszych Niemczech. Odwiedziny w komisariacie żeńskiej policji obyczajowej, spacerek po dworcach — oto nowy a jakże nieznany plon wrażeń i doświadczeń. Wówczas to zaczynamy wątpić w odrodzenie narodu tak strasznie upadłego. Mała grupka młodzieży niemieckiej ze wschodnich Niemiec, która zastępowała niemiecką młodzież postępową na międzynarodow. konferencji młodzieży demokratycznej w Warszawie, nie może pozwolić na zażycie tej szczypty optymizmu, która utrzymuje przy wierze. Dezorganizacja niemieckiego życia występuje w postaci szczególnie odrażającej w tych dzielnicach Berlina, w których panuje bałagan denazyfikacyjny. Korupcja polityczna jest tu bowiem niczym innym jak źródłem wszelkiego rodzaju upadku moralnego, którego nie zamaskuje żaden uśmiech ani rzekoma wolność. Na jednym z procesów bandyckich, jaki toczył się ostatnio w Berlinie — w ogóle kronika sądowa daje najwięcej istotnego materiału dla oceny głębokości upadku ludności byłej stolicy Rzeszy — w charakterze świadków występowało dwóch dezerterów angielskich. Młodzi ci ludzie opowiadali tak nieprawdopodobne rzeczy o stosunkach wśród okupantów, że nie chce się w nie po prostu wierzyć. Urzędników, którzy za pieniądze zrobią wszystko, jest tu niemało, to prawda. W ogóle zachodni okupanci nie bardzo poważnie te sprawy traktują, co oczywiście odbija się na ogólnym funkcjonowaniu aparatu okupacyjnego, a zwłaszcza na bałaganie wychowawczym wśród ludności niemieckiej. Sygnały są groźne. Być może zresztą, że inne są powody pogłębiającego się upadku. Trzeba by je zatem poznać. Bo ta gangrena w środku Europy nie będzie przyjemna dla sąsiadów, gdy stosunki polityczne na tyle się już uregulują, że można będzie myśleć o zniesieniu pewnych barier.

WISZ

Spotkania z przyjaciółmi

Katowice są naturalną bramą wpadową z Czechosłowacji do Polski i bywają też najczęściej ostatnim etapem, przez który powracają bawiący u nas Czesi i Słowacy do swej pięknej ojczyzny.

Myślę, że w sprawach kulturalnego zbliżenia rolę tę dobrze spełniają. Zarówno Czesi jak i Słowacy znajdują tu bodaj najsilniejsze obok Krakowa środowisko zainteresowań ich życiem kulturalnym, ich literaturą i sztuką. Środowisko to tworzy kilkuosobowa grupa literatów, którzy żywo i stale interesują się kulturą obydwu sąsiednich



Milosz V. Kratochwil

narodów. Byłoby dobrze, gdyby Instytut Śląski rozbudował swój Wydział Czechosłowacki i stworzył w ten sposób dla zainteresowań tych naturalne oparcie.

Może więc dlatego właśnie choć niewiele mamy obcym gościom do pokazywania (katedra dopiero się buduje, a przemysł nie stanowi dla nich osobliwości) Czesi i Słowacy czują się w Katowicach dobrze. Wynika to chyba i z tego, że witamy ich zawsze jak najchętniej, że cieszymy się z każdego nowego kontaktu, z każdej wymiany myśli i z każdego pogłębienia wzajemnych sympatii.

W ostatnim czasie po Franciszku Nechvatalu odwiedził nas prozaik i dramaturg Milosz V. Kratochvil w towarzystwie jednej z urzędniczek Syndykatu Pisarzy Czeskich, p. Ewy Wuertelovej, do której resortu należą m. in. sprawy przekładów czeskich na język polski, a po nich powieściopisarz słowacki, Ferdynand Gabaj.

M. V. Kratochwil wiekiem należy do pokolenia, stanowiącego dziś trzon prozy i poezji czeskiej, do pokolenia Halasa i Rzezacza, pisarzy, reprezentujących grupę literacką, która przekroczywszy czterdziestkę weszła w okres najpełniejszego twórczego rozwoju. Z zawodu historyk, debiutował w literaturze stosunkowo późno tomem trzech opowiadań historycznych z okresu po klęsce białogórskiej „Błędne ścieżki" (1939). Umocnił swe stanowisko w literaturze doskonałą powieścią historyczną o zakroju psychologicznym „Samotny awanturnik" (1941), umieszczoną na przełomie wieków XVI i XVII. Losy bohatera tej powieści, marszałka Ruswormа trochę przypominają los o wiek wcześniejszego ks. Mikołaja Opolskiego. Dalsza, godna uwagi książka Kratochvila to tom dziesięciu opowiadań „Opowieści o miłości i śmierci" (1943). Jako dramaturg wystąpił Kratochvil z dwoma dotychczas sztukami. Pierwsza z nich, trochę ibsenowska, ale może i czapkowska zarazem, nosi tytuł „Okręt" (1944), druga powstała niedawno i grana jest obecnie w Teatrze Narodowym w Pradze na uczczenie stulecia Wiosny Ludów („Czeska wiosna"). Kratochvil czynnie współpracuje z filmem i przygotowuje się do opracowania scenariusza filmu o tematyce polsko-czeskiej. W czasie pobytu w Polsce nastąpi prawdopodobnie ostateczny wybór tematu do tego filmu.

Goście słowaccy bywają u nas rzadziej niż czescy. Toteż wizyta w Polsce utalentowanego powieściopisarza słowackiego, Ferdynanda Gabaja miała szczególne znaczenie jako zapowiedź zacieśnienia łączności kulturalnej również i ze Słowacją. Gabaj, pisarz czterdziestoletni, ma w swoim dorobku dziewięć powieści i taką samą ilość książek dla dzieci i młodzieży. Z powieści tych najnowsza „Suchy płacz" ma ukazać się w przekładzie polskim. Autor jej zwiedził w czasie miesięcznego pobytu całą niemal Polskę i wykorzystał pobyt do poznania języka w tym celu, by móc podjąć pracę przekładową. Szczególnie interesowała go polska literatura dla dzieci, w którą zaopatrzono go wcale zasobnie. Rozmowy z nim pozwoliły nam zorientować się bliżej w życiu literackim współczesnej Słowacji i podjąć próbę nawiązania kontaktów bliższych i trwałych z pisarzami słowackimi.

Żegnając Gabaja na dworcu, poznałem jeszcze jednego słowackiego pisarza, który po sześciotygodniowym pobycie w Polsce powracał do kraju. Był nim młody i dobrze już znany w literaturze słowackiej prozaik Dominik Tatarka. Rezultatem jego podróży do nas ma być książka o Polsce.

Czesi i Słowacy szybko przyswajają sobie język polski. Po miesięcznym pobycie najczęściej czytają już mniej więcej swobodnie książki. Np. Tatarka przeczytał ich przeszło dziesięć. Zachwycał się Nałkowską i był przekonany, że istniejący przekład słowacki „Granicy" nie oddaje artystycznych walorów oryginału. Gabaj dawał sobie zupełnie dobrze radę z „Porwaniem w Tiutiurlistanie" Żukrowskiego.

Z tych literackich odwiedzin wynosimy jedną pewność: przyjaźń, jaką zawierają pisarze słowaccy i czescy z naszym krajem i swymi polskimi kolegami po piórze stanowi najbardziej twórczy i trwały wkład w przyjaźń naszych narodów i w ich wzajemne zbliżenie kulturalne.

Zdzisław Hierowski.

Pisarka niemiecka w Polsce

Przed paru tygodniami przybyła do Polski pisarka niemiecka, p. Elga Kern, która w zamiarze napisania książki o Polsce dzisiejszej zwiedza miasta polskie. Parę dni pobytu poświęciła również Katowicom, zbierając informacje i materiały o Śląsku, oraz zwiedzając niektóre ośrodki pracy. Była również w Oświęcimiu, gdzie poznała bardzo dokładnie dzieje martyrologii ludzi



Elga Kern.

wszystkich ras i narodowości, służąc bawiącej w tym samym czasie na Śląsku dziennikarce australijskiej jako tłumaczka. Główne zainteresowania p. Kern dotyczą jednak nie tyle przeszłości okupacyjnej Polski, nie tyle ciemnej i smętnej strony naszego życia państwowego, ile raczej najbardziej współczesnych dziejów naszej ojczyzny, jej pracy, jej odbudowy, jej rozmachu. W sposób najbardziej entuzjastyczny mówi p. Kern o naszej młodzieży. W Polsce zastała — mówi — całkiem inny świat, atmosferę zupełnie inną, aniżeli ta, która panuje na zachodzie. Zachód jest w jej ocenie umierający. W Polsce zauważa pisarka tworzenie się nowego, lepszego życia.

W dłuższej rozmowie zabłysła w sposób nadzwyczaj miły i interesujący orientalistyka p. Kern. Żałowałem np., że nie brał w niej udziału nasz wybitny chinolog, prof. Wypler, który byłby tutaj wielu rzeczy dopowiedział. Rozmowa toczy się głównie w języku polskim, albowiem p. Kern wszystko rozumie, a nawet sama mówi po polsku, choć nieco kiepską ma wymowę.

Pani Kern była już w Polsce przed wojną, gdzie osiedliła się, zmuszona w r. 1933 do opuszczenia Niemiec. Opowiada, że w r. 1939 zwróciła min. Beckowi uwagę na sieć szpiegów niemieckich w Polsce, za co groziło jej... aresztowanie.

W dorobku literackim p. Elgi Kern znajduje się 2-tomowe dzieło pt. „Czołowe kobiety Europy", w którym jest także życiorys naszej powieściopisarki, Zofii Nałkowskiej, oraz wydana w Zurychu książka „Vom alten und neuen Polen".

W jednym z następnych numerów „Odry" zamieścimy napisany specjalnie dla nas artykuł p. Elgi Kern na temat naszych Ziem Zachodnich. (w)

ANDRZEJ WYDRZYŃSKI

Ostatnia próba

(Fragmenty)

40

Okradano mnie zręcznie, milczkiem i cichcem, przebiegle i bezlitośnie. Każdego tygodnia stwierdzałem nowe braki.

Wyostrzyłem słuch i intuicję, stałem się uważny, czujny, przesadnie ostrożny.

Ale oni — ich sądy, ich lokaje i ich kobiety — byli sprytniejsi, prześcignęli mnie i niestrudzenie, nieznacznie, krok za krokiem zapędzali w róg ringu. Tam mogli zablokować i wykończyć.

Okradli mnie także z czułości, z melancholii minionych spotkań, z liryki rzeczy nieistotnych, której wyczuciem tak się chełpiłem. Ukradli nawet — porwali — dziewczynkę z księżycowej, irracjonalnej ballady: już nie spotykałem jej na wewnętrznej stronie powiek...

Wreszcie dobrali się do wspomnień.

41

Zamierzona „powieść" musiała mieć formę inną — rzecz zrozumiała — niż np. „W poszukiwaniu straconego czasu" Prousta. Mój czas nie był stracony. Nie liczyłem się również z utratą możliwości otrzymania nagrody literackiej. Gra toczyła się nie na tym boisku.

Obmyśliłem formę z precyzją godną doświadczonego pisarza. Ale miałem zbyt dobry węch, ażeby nieświadomie nie wpłynąć w pewien istniejący już w literaturze nurt. Po latach, ze zdumieniem a także z zadowoleniem, stwierdziłem, że pomysł mój był nie tylko moim, że rodzaj ten miał świetne i piękne tradycje — wyjątkowe.

Znajdując próby Aloysiusa Bertranda, Baudelairea, Rimbauda — i innych — postanowiłem tym bardziej stanowczo trwać przy rodzaju zamierzonej przeze mnie pracy.

Jakby na potwierdzenie swego uporu, znalazłem takie miejsce u Huysmansa: „...natchniony czarodziej mógłby w małym tomiku takiej prozy, zawrzeć potęgę powieści, unikając analitycznych rozwlekłości i dodatkowych opisów.

Bardzo często rozmyślał książę nad tym niepokojącym go problemem, czy można napisać powieść streszczoną w kilku zdaniach, zawierających treść setek stronic.

...w ten sposób skomponowana poezja prozą, przedstawiała dla księcia treść konkretną, odżywczą substancję literatury, była jej rdzeniem, esencją, sprowadzała gadatliwość sztuki do powściągliwego milczenia, zamykając morze prozy w kropli poezji."

42

Wiek mój — jazz-band ogłupionych i okrutnych. Gdzieś wysoko, ponad nimi, ktoś podający na bębnie takt wyrzucał w górę pałeczki i zręcznie chwytał je w powietrzu.

Trzeba było przestrzelić te ręce, obezwładnić palce, które po każdym skończonym foxtrocie były palcami szulera.

Coraz więcej głodnych i chorych prostytutek włóczyło się o zmroku, czarni ludzie pili w szynkach i tawernach wódkę, pęczniejące ciążą kobiety czekały na nich, pochylone nad mydlinami.

Już nie domykały się klapki instrumentów, fałszowała Wielka Orkiestra, nawet dzieci słyszały.

Przez megafony krzyczał chrapliwie i ordynarnie na tle wyjącego entuzjazmu współczesnych Hunów: Lebensraum!

Słyszałem: Todesraum!

Wtedy w limuzynach zamykano głośniki radiowe, kelnerzy nacierali o tej porze parkiety taneczne kalafonią. —



43

Wszystko poprzednie stało się niepotrzebne, traciło wartość. Perspektywy zwężały się do wściekłości, do bólu źrenic. Trudno było zmieścić się w zwężonych nagle i nieopatrznie. Przeczuwałem katastrofę.

Już słyszałem krzyki, już budziły mnie nocą — już ciągnęły wyschniętą pustynią Europy kilometrowe karawany cieni, nienotowane, pochylone pogrzeby bez trumien, bez księży, bez rabinów.

Już przygotowywano cmentarze bez nagrobków i kwiatów, ogromne cmentarze, na których nie trzeba opłacać miejsc; już zbliżało się wielkie Święto Umarłych.

Już broczyłem.

Ale był potrzebny jakiś śmiercionośny grom — ażeby trafić zimne i okrutne serce tego cholernego świata, rzężącego w starczej, wzbudzającej niesmak i gniew, agonii. —

44

Zapowiadał się groźniej, niż wymyślona niegdyś katakliczna eksplozja kuli ziemskiej nadzianej dynamitem. O wiele groźniej.

Widziałem znowu — przeczulony, hypertroficznie wrażliwy — ludzi ginących, których inni będą opłakiwać — mordowanych, których inni będą seryjnie mordować. Śmierć „mady in Germany" — śmierć nieuchronna, niezawodna, niebo bluzgające bombami — rozdarte potęgą modlitw, które wpadały tam, w to niebieskie, zakneblowane milczeniem — i lękiem odlatujących ptaków.

Wisiał nad nami pusty, wydęty grzecznymi opowiastkami balon, polecony przez ministerstwa do użytku szkół powszechnych i średnich, balon, którego powłokę każdy mógł przekłuć byle szpilką, żarzącym się papierosem. —

45

Któregoś dnia tak czy inaczej wyleją mnie na zbity pysk z tego świata. Nie mogłem dostroić się do kakofonicznego zgiełku Wielkiej Orkiestry, zresztą nie usiłowałem.

Kiedy — zakonspirowani — kończyliśmy półgłosem spisek przeciw Starym Miastom, wychodziłem ostatni i zatrzymywałem się jeszcze długo na ulicy obwieszonej neonami. Stawałem na skrzyżowaniach jak gdyby już nie w mieście, jak nieprawdopodobny kapitan okrętu, który czeka — niebezpiecznie oddalony od wszystkich brzegów — na niszczycielski tajfun.

Jeżeli księżyc miał jakikolwiek wpływ na nasze życie — posądzałem ten monokl wyszarzałego nieba o odraczanie, o powstrzymywanie wielkiego przypływu.

W dzień, po odpłynięciu księżyca, pilnowali tej sprawy Właściciele Neonów.

46

I nadeszła, nadeszła ta plugawa, wynędzniała olbrzymka w żołnierskich podkutych butach.

Nadeszła ta zdziczała k.... dziejów ludzkich, natrętna dziewka historii. Niechlujną, brudną od skrzepłej krwi rękę wyciągnęła nad wierzącym po nieudanym połogu brzuchem świata: Europą.

Upomniała się o 1914-ty, o niedokończoną wojnę, której uczyły się dzieci w szkołach, ale która niczego nie nauczyła. Upomniała się o Wersal, — o daninę stygnących ciał i ciepłej, spływającej krwi.

Wojna!

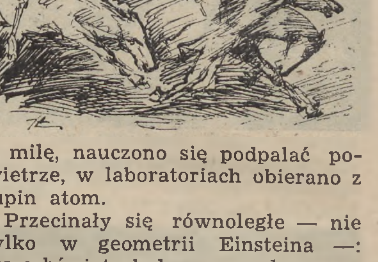
47

WOJNA:

Spełniło się. Wulkan pękł jak ogromny wrzód — zalewał ziemię gorącą lawą, niestygnącym śpiewem żołdaków, huczącym marszem na wschód i zachód, północ i południe. Rozedrgane igły kompasów tańczyły na ostrzu osi, wirowały jak oszalałe, biegun zmieniał położenie, przechyliła się niebezpiecznie oś kuli ziemskiej.

Uciekali przed potopem wybitni pisarze i uczeni, uciekali zdrajcy i uciekali bogaci. Dla maluczkich ratunku nie było. Którzy nie zwątpili w zwycięstwo, uciekali na Wschód. Tam toczyły swe wody Wielkie Rzeki, przez które barbarzyńcom Zachodu nikt nie przerzucił mostu: wierzono, że lawa zastygnie u ich brzegów.

Bombom przypięto skrzydła, słuch zastąpiła czujna membrana, czułe siatki zastosowane zamiast wzroku spostrzegały przedmioty oddalone



o milę, nauczono się podpalać powietrze, w laboratoriach obierano z łupin atom.

Przecinały się równoległe — nie tylko w geometrii Einsteina —: wszechświat był naprawdę zamknięty.

Gęste dymy przesłoniły horyzont. Nastała Wielka Noc, w której wielu straciło wzrok. Spełniły się proroctwa Ezechiela i Jaremiasza, chrapliwie dyszały zgonione rumaki Apokalipsy.

ALEKSANDER WIDERA

Sen

Cofnięty czas

Wsnach wywołujemy częstokroć wspomnienia z przeszłości, do której powracamy mniej lub więcej chętnie, o której niekiedy chcielibyśmy zapomnieć, albo też na odwrót, mieć ją ciągle przed oczami, zależnie od tego, jakie przeżycia ta przeszłość zawiera. Nasz stosunek do wspomnień rzadko jest obojętny. — Wspominamy zdarzenia, wspominamy ludzi; wspominamy na jawie i — w snach; inaczej tu, inaczej tam. Sen miesza czasem przeżycia rzeczywiste z fantastycznymi — jak w utworze literackim. Czasem są to zgoła utwory niesamowite, których nie sposób napisać, bo brak mi logiki, konsekwencji. W czasie snu próbujemy nawet nieraz przed sobą samym usprawiedliwić nieprawdopodobieństwo sennych przeżywań, wmawiamy w siebie: „przecież ja nie śnię..."

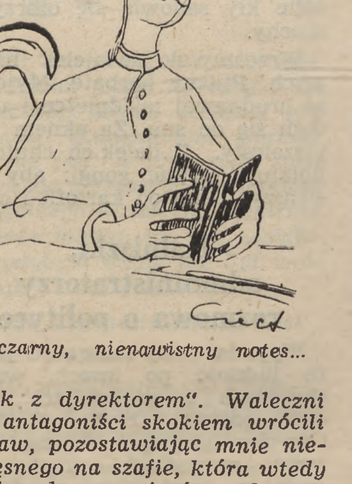
Sen ujmuje nam lat.

Umieścił mnie właśnie w klasie szkolnej, na którą patrzę oto — nie jako ktoś, kto już dawno przekroczył próg, poza którym zaczęła się tzw. dojrzałość, ale jako zwykły sztubak — ze wszelkimi obawami i dolegliwościami, jakimi go dzień powszedni obdarzyć raczył.

Właśnie zaczęła się łacina. Profesor — „łacinnnik" przechodzi oto wzdłuż ławek, między pierwszym i drugim rzędem ku ścianie tylnej; tu odwraca się wartkim półkolem i kładzie wzrok na plecach i czuprynach siedzących, choć z twarzy więcej wyczytać by można. Mimo to wszyscy dźwigają na plecach spojrzenie profesora jak balast, który mierzi. Wywołany mój sąsiad powstaje z ławy — chyba wszystkim na plecach ulżyło — i zaczyna czytać z podręcznika. Nie zwracając na niego uwagi, jąłem stąpać oczami po pierwszym zdaniu na stronie trzydziestej — w przeczuciu, że „potem kolej na mnie", albowiem zwyczaj łacinnika nakazywał mu pytać następnego z tej samej ławy. W zdaniu potknąłem się o nieznane słówko „morowy", szperam więc w słowniku pod „m", suwam palcem wzdłuż kolumny wyrazów, zaczynających się na tę literę, mijam i nie znajduję; odrazu jednak słówko „morowy" ulatuje z wiatrem, znachodzi się inne: „pomarańczowy", dziwię się zatem, że wyrazu na „p" szukam w kolumnie słów, zaczętych na „m"... — tymczasem jednak spada mi na głowę moje nazwisko. Mijam oczami różowe oblicza sąsiada i powstawszy z miejsca, wypycham z ust słowo po słowie, łowione wzrokiem z książki; przedwcześnie jednak usadowiony z powodu złego wyboru czytanki, za co winić należało moje roztargnienie i nieuwagę, zauważam jeszcze ucieczkę krwi z twarzy sąsiada, bo oto jego imię zawisło ponownie nad klasą. Potem, do końca godziny nurtuje mi w myślach wykręt o wczorajszej nieobecności, który — choć nieprawdziwy — wyjednywa mi u „belfra" obietnicę wymazania dwói.

Dopiero teraz przystępuje do mnie pamięć o konieczności napisania zadań z fizyki i matematyki (przedmioty te to były moje dwie „pięty achillesowe"). Fizyk był dla mnie w gimnazjum osobą, którą można by nazwać strachem na wróbla, gdybym się, dajmy na to, nazywał Wróbel. Mój sen zrobił z fizyka również matematyka, co było oczywistą nieprawdą, bo w rzeczywistości było inaczej, co jednak tylko pogarszało sytuację, w jakiej się poza światem zmysłów znalazłem. Z fizykiem bowiem, a teraz i matematykiem w jednej osobie, miałem stare „porachunki". Ponieważ wyjaśniają one przyczyny takiego a nie innego ustosunkowania się tegoż profesora do mnie, wypada nam cofnąć się wstecz.

Pasją moją były bijatyki z kolegami w czasie pauz. Moja osoba znajdowała się w takich razach zazwyczaj na szafie, z której łacniej było radzić sobie z „napierającą bandą", bo była o... „piętro niżej". Zdarzyło się kiedyś, że w takim momencie padło na klasę:



...czarny, nienawistny notes...

„fizyk z dyrektorem". Waleczni moi antagoniści skokiem wrócili do ław, pozostawiając mnie nieszczęsnego na szafie, która wtedy urosła do rozmiarów Maczugi Herkulesa. „Szanowni goście" weszli i wcale nie spostrzegli mojej skromnej osoby na wysokościach. Pan dyrektor usadowiwszy się za katedrą, jął przeglądać katalog, a profesor odwrócony do mnie tyłem, stawiał klasie pytania. Koledzy byli podminowani wyczekiwaniem tego, co miało nastąpić. Tymczasem zaczęło mi być bardzo gorąco, albowiem jakowaś ciepła fala napłynęła mi gdzieś od brzucha do głowy i rozpaliła mi twarz do czerwoności. Co robić? Oczy spłynęły po rurze centralnego ogrzewania, jednak postać moja pozostała nieruchoma, zawieszona między sufitem i podłogą, albowiem zejście było niemożliwe. Nieliczne minuty siedzenia na gorącej fali czy rozżarzonych węglach wydłużyły się stokrotnie i były większą męczarnią jak wyczekiwanie na zbawczy dzwonek. W końcu jednak powzięta decyzja, która musiała być uznana za malum necessarium, zepchnęła mnie z szafy, przy czym plaśnięcie stopami o podłagę momentalnie obróciło postać i uwagę profesora ku mnie, a dyrektorowi przerwało myślenie o tym, co będzie dzisiaj na obiad.

Mimo najsurowszego potraktowania mojego wybryku, przecież nie wyrzucono mnie zań z gimnazjum.

Paniczny lęk przed fizykiem potęgował się w chwilach poczucia własnej winy, której następstwem miała być kara z jego ręki. W poczuciu niespełnionej powinności nad której wykonaniem on czuwał, upodabniałem się do trwożliwej, rozedrganej osiki. Nie napisane zadania nagliły do pośpiechu.

W punkcie kulminacyjnym niepokoju i zdenerwowania, kiedy zabierałem się do pisania, nie wiedząc od którego zadania zacząć, wszedł najniespodziewaniej ksiądz katecheta. Ulga, która wstąpiła we mnie wraz z jego wejściem, pierzcha jednak po chwili, nadzieja napisania obu zadań na łagodnej lekcji religii ulatnia się, bo oto katechetą okazuje się jakiś „nowy" nieznajomy ksiądz o surowym, gniewnym spojrzeniu, postać znana mi tylko z owego snu. Siedzący za katedrą, wyjmuje z zanadrza czarny, nienawistny notes, przy czym nikomu w klasie nie przychodzi na myśl, że katecheta, widząc nas po raz pierwszy, nie zna naszych nazwisk i z pewnością nie ma ich zapisanych. Z ust wszystkich dobywa się nieśmiały, lecz wyraźny pomruk: „pierwszy raz i już pytanie..." Tu najzupełniej nieoczekiwanie rozpogodziło się oblicze katechety jak niebo po burzy, a z poza zagrody zębów wybiegło na klasę:

— Na moje pytanie każdy odpowie.

Przechylił się ku nam poufnie, pojednawczo.

— Gdzie odbył się pierwszy zakład?

W pytaniu była i niespodzianka i zagadka i tajemnica. To samo, co w nim samym, zawisłym nad blatem katedry. Pytanie, które miało okazać się takim, iżby każdy na nie odpowiedział, okazało się nieodgadłą zagadką, w której rozwiązaniu nie pomagały przywoływane na pamięć historie biblijne. Nie zażądano jednak odpowiedzi od nikogo z nas. Dana została przez samego katechetę, lecz i tak niczego nie wyjaśniła. W oczekiwanej chwili zadźwięczało w uszach wszystkich jedno słowo:

— W szopie! —

a potem rozległ się szeroki jak pogoda śmiech księdza katechety, śmiech potoczysty, długotrwały, choć niewytłumaczony; obudził się za chwilę w każdym z nas, wyzwalał się z naszych płuc i perlił się w powietrzu jak pękające bańki mydlane; najbardziej beztrosko podskakiwał we mnie, bo powróciła nadzieja odrobienia nie napisanych zadań; powróciła, ale wnet straciła rację bytu, gdyż obudzony ze snu, nie potrzebowałem ich pisać w ogóle. Bo co mnie mogło obchodzić to, co było we śnie? W tym śnie, w którym nawet nauczyciel łaciny uwierzył w mój naiwny wykręt.

Rys. Janusz Łonicki

autobiografii

LUDZIE:

Wyrzucano na nieznanych stacjach worki pocztowe z listami spóźnionymi o jeden dzień.

Pisała: „...oczekuj mnie jutro na dworcu. Twoja..."

Przyjechała: nikt jej nie oczekiwał. Była niczyja.

JA:

Oślepiony, z głazem świata uwiązanym u szyi, runąłem w krater wulkanu.

48

Naga dziewczyna przechyliła głowę w tył i uśmiechnęła się. Na szept było za późno.

Początkowo na schodach — za chwilę butami o drzwi, butami i kolbą w ciszę i w noc. —

Wyciągnięte ramiona obejmują tylko jej lęk.

Wszystko jest po raz ostatni — i to najtrudniej zrozumieć —: oczy i usta i noc. —

A tamci walą w drzwi: myślą, że lęk przekrzyczą.

— Okna!

: za oknami hełmy i reflektory...

Więc wchodzą — są — jednak przekrzyczeli.

... — Tak. Tak... — A ty?

Rewizja.

Na szept jest za późno. —

Uśmiech zastygł kamiennie na twarzy dziewczyny.

Rozstrzelali ją.

49

— — — — tej samej nocy niewypowiedziany szept chrapliwie przewalał się w piersiach zamieniony na rozdzierający krzyk; opuchły nim żyły, pulsowały wypukłe skronie, żadne tamy nie powstrzymywały huczącego napływu krwi, wdzierającego się pod skórę głowy: zbyt mało miejsca było we mnie na jej imię, chociaż właśnie ten krzyk wyginał wargi kształtem jej imienia i na obrzmiałych pozostał gorączką, której niczym ugasić nie mogłem, w celi wody nie było, zresztą cóż woda...

50

Sześcienny, wydrążony blok betonu, w nim ciało: skrzepy krwi i nienawiść.

Na powiekach kładą się cienie krat.

Już na zawsze.

Ramiona skrzyżowane pod głową — ale daleko, z tyłu, nie w tej celi.

Gorączka —

Wirują numery telefonów, łopot ogromnych skrzydeł, łopot ogrom-



nych kół, w oczach coraz więcej ciemności i śmierci.

Z tej nocy tylko imię pamiętam —

„Kochana! W chwili, w której mój list otrzymasz..."

Przecież nie otrzymasz!

Więcej z tej nocy nie pamiętam.

51

Godziny upływają beze mnie, dnie przechodzą obojętne, dalekie i gdzieś — Nic o nich nie wiem —: nie docierają.

Mgła. Popielaty pająk rozsnuwa ją między palcami niewidocznych już rąk, wplątuje we włosy, oplata rzęsy. —

Wszystkie nie liczone dnie są tylko zatrzymanym odcinkiem czasu, uwięzioną minutą.

Ale poza momentem istniejącym tutaj — ktoś w tym samym czasie napewno wydłubał paznokciem kilkanaście wąskich rowków na ścianie przyległej celi. Oznaczał nimi ilość dni.

Dotknąłem twarzy, obejrzałem ręce: były.

Więc jednak można żyć bez powietrza!

I bez Ciebie?

52

Nie! Jeszcze jest ciemno. Ale końce palców drżą już leciutko niewyraźnymi rytmami wierszy, akordami strof, których nigdy nie potrafię napisać —

...nie zdejmuj z twarzy cienia krat, nie zcieraj z ciała śladu dłoni...

Już nikt nie dźwignie z piersi mych ciężaru nocy uwięzionych...

— nieudolnie, od początku, jak dziecko, które uczy się chodzić.

53

Próbowałem wstać. Jednak cela była ciasna, okratowane okno zbyt wysoko, już nie mogłem — jak niegdyś — ręką sięgnąć błękitu —

A właśnie tam we wnęce okna tkwiła kromka suchego nieba. —

54

Pierwsze przesłuchanie trwało dwie doby. Próbowałem przeliczyć na sekundy, w każdej coś się działo —: zgubiłem się w czasie, w cyfrach, nie znalazłem.

Pawiak. Oddział ósmy. Siódmy.

Powtórne przesłuchanie, znowu krew.

Oddział trzeci. Piąty. —

Na wyimaginowanej tarczy przeskakują numery cel, numery ludzi, twarze i ręce.

(Pierwszy z tych, którzy bili, miał wąskie wypielęgnowane dłonie.)

Pod zwisającą głową rozrasta się szeroka, lepka kałuża. Wygląda jak otwór, którym można uciec. —

Znowu popielaty pająk.

Mgła.

W tej mgle nawet mnie nie było.

55

Zmierzch.

Płuca zamkniętych ze mną ludzi rozszerzają się ciężkim oddechem. W klimacie śmierci rozkładają się żywym ciałem.

Z blaszanego pudła wycieka mocz i rozlewa się szeroką strugą, wsiąka w wypchane pchłami posłania.

Uczę się na pamięć sceny rozstania, jeszcze nie rozumiem. Tylko boję się poruszyć. Wtedy boli. Wtedy szorstkie kamienne dłonie zaciskają się kurczowo na sercu: może tęsknota.

Mrok. Ludzie majaczą.

Wzdłuż murów przechodzą podkutymi krokami straże, nawołując się po ukraińsku. Klną: plucha.

Deszcz odmierza czekanie sekundami, tyka jak zegarek.

Można zbadać puls...

Szeleści wahadło ciemności. Noc.

56

Wąwozem korytarzy przepływała śmierć.

Słyszeliśmy plusk wyraźny jak brzęk kluczy, widzieliśmy w oczodole judasza. Nagłe momenty przerażenia, zrodzone gdzieś u źródeł przeczucie: wszyscy wpatrzeni w klamkę: mogła drgnąć.

...a ona przepływała korytarzami...

Którejś nocy wywołano z cel kilkuset ludzi.

Wszyscy wiedzieli, ale myśleli, że — Tamci nie umieli myśli rozstrzeliwać.

Spętanych po pięciu wtłoczono w skrzynie ciężarowych samochodów. Dworzec obwarowany karabinami maszynowymi, hełmami.

Długi zestaw bydlęcych, ciemnych wagonów. Słyszę płacz jakiejś dziewczyny. I po raz pierwszy widzę skrzydlatych. Skrzydlaci dźwignęli poza nami zwodzony most.

Jedziemy
noc i idzień
noc i idzień
noc i dzień —

58

Wtajemniczeni musieli przejść siedem prób głównych. Urządzano je w miejsce średniowiecznych turniejów rycerskich, z tą różnicą, że w skali dostosowanej do dwudziestego wieku. Ci, którzy przeszli przez taką próbę — ginęli. Nie byliśmy dopasowani do nowego porządku świata, nie przygotowano nas w poprzednim wcieleniu do żadnej z tych prób nawet na wyższych uczelniach.

Było to:

— próby płomieni i mrozu, próba tęsknoty i próba gazu, próba upływu krwi i próba wydrążonej igły. Siódma była próbą temperatury bezwzględnego bólu.

Przykład:

— nagle, w niepojęty sposób, jak gdyby to był papieros uchwycony przez sztukmistrza w powietrzu — przyprowadzono matkę przed pobitego syna. Stał oddalony o trzy kroki, kiedy oni wbijali w jej rozwarte oczy dwa rozszapierzone palce. —

59

Dopiero tutaj, strzeżeni pilnie z wysokich baszt, otoczeni rzekami wysokiego napięcia — zrozumieli, że żelazo wydobyte przez nich, było obrócone przeciw nim. I zrozumieli, że człowiek topi się w niższej temperaturze niż żelazo.

Właściciele koncernów opłacali ogromną armię umundurowanych jednakowo dzikusów, których wyszkolono w specjalnych Instytucjach Zwyrodnienia Drobnomieszczaństwa i w Pogardy Człowieka. Wstęp do tych szkół (bez składania egzaminów) mieli członkowie wszystkich klas społecznych.

Fachowo wyszkoleni, znakomicie uzbrojeni barbarzyńcy, przewozili nas z miejsca na miejsce, troskliwi w okrucieństwie, skrupulatni w dobijaniu. Warowali przy nas wiernie i czujnie, każdy z nas, uwięzionych miał taką conajmniej wartość, jaką ma diament Cullinan.

60

Skazanym na rozwianie się jeszcze raz błysnąłem wolnością przed oczyma.

Moja słowa żarzyły się jak węgle, wybuchały jasnym płomieniem i znowu przygasały tylko po to, by wezbrać w rwącą rzekę ognia, zapalić iskrami wibrujące powietrze, potężnieć, rozrastać się w oceany pożarów.

Ale słowa spopielały się w ich oczach. Karmieni szpinakiem i brukwią — stali się cisi, łagodni i pokorni jak pierwsi chrześcijanie, rozszarpywani na piasku rzymskiej areny, — trwożni i omdlali.

Milczeli.

Spojrzałem im w oczy: — nie, nie wymodlę cudu, który przemieniłby łańcuchy zwisające z ich rąk na ogniste miecze!

— — — wieczorem podsłuchałem przypadkowo rozmowę dwóch Barbarzyńców. Dowiedziałem się z niej, że w naszych koncernach mają swoje udziały Właściciele Neonów, i skupują akcje...

Ta wiadomość przeraziła mnie. Kiedy nie ufałem Właścicielom Neonów i zdawałem sobie sprawę, że jeśli trafią na moje nazwisko w książkach firmowych w rubryce „rozchód" — to korzystając ze swoich wpływów i z poczynionych Barbarzyńcom obietnic na wypadek przegrania przez nich wojny — zażądają natychmiast mego obłoku.

Należało coś przedsięwziąć.

61

Pewnej nocy, korzystając z nieuwagi księżyca i z przelotu ponad zabudowaniami koncernu ogromnych stalowych motyli, wymyślonych przez ludzi — uciekłem z Fabryki Obłoków.

Przepłynąłem — nurkując — rzekę wysokiego napięcia, unikałem wirów i zastawionych potrzasków, — dotknąłem stopami i ustami lądu.

Biegłem przed siebie — biegłem szybko — szybciej — ach, nawet wtedy, gdy usłyszałem ponad sobą suche, nerwowe trzaski skrzydeł —

Dopadli mnie skrzydlaci.

Nie chcieli zabić, prosiłem, żeby zabili.

Odpięli skrzydła, przewiesili przez prawe ramię.

Uśmiechali się.



Wzięli mnie za ręce i zawlekli — tak uśmiechnięci — do Wielkiego Pieca.

Tam spalono mnie żywcem.

Niebo zamknęło się nade mną jak brama utraconego świata.

Andrzej Wydrzyński

Korespondencja

Polemika z Hierowskim

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 33 (142) „Odry" z dn. 15 sierpnia 1948 r. ukazał się artykuł polemiczny Zdzisława Hierowskiego p. t. „Ofensywą obrażonych". Do tych „obrażonych" — prócz Morcinka i pana „Wr" z „Odry" — zaliczył autor i mnie, insynuując, że mam do niego żal za niepochwalenie mojego „wielkiego" sukcesu w Nysie.

Insynuacja ta jest złośliwa i bezpodstawna. Od dawna już nie oczekuję od Zdz. Hierowskiego żadnych pochwał i pragnę tylko jednego — by o mnie milczał. W cytowanym wypadku zaprotestowałem w sprawie bardziej zasadniczej: przeciwko uproszczonym metodom krytyki literackiej Hierowskiego, a to w związku ze zbyt pochopnym określeniem Rafała Urbana jako grafomana.

Odnośny ustęp artykułu mojego w „Gościu Niedz." brzmiał następująco:

„Głos ludu śląskiego nie może być mierzony kryteriami panów Hierowskich. Znany pomniejszyciel śląskiej sławy literackiej, zwolennik elitarnych wyczynów pióra niezrozumiałych dla mas, pozwolił sobie postawić nad wami, panie Rafale, złośliwy znak zapytania (w „Dzienniku Literackim" nr 26 z dn. 27 czerwca br.), choć waszej sztuki czytał jedynie akt pierwszy. Ale wyroki wpatrzonych w siebie augurów, może miarodajne dla literackich snobów, stoją poza nawiasem potrzeb życia. Kto pragnie z wszystkich drwić, sam wreszcie może być wydrwiony."

Zdzisław Hierowski wykorzystuje okoliczność, że w dziedzinie krytyki literackiej nie ma z tej strony Brynicy poważnego konkurenta. Dzięki temu posiada kredyt i po tamtej stronie tej nieszczęsnej rzeki wśród ludzi, spraw śląskich nieświadomych. Dyskwalifikuje on przed całą Polską literatów śląskich, „których wielkość kończy się na linii Brynicy pod Sosnowcem", a nie rozumie, że pisarze ci poświęcili się rozwiązywaniu problemów, w reszcie Polski nie istniejących, rezygnując z szerszego sobkowskiej natury rozgłosu. Wykonują oni pracę społeczno-narodową która jest na tym terenie konieczna by przeorać grunt i przygotować fundament dla przyszłej nadbudowy kulturalnej. Tam trzeba pisać w sposób zrozumiały dla mas. Dlatego głos ich dociera wszędzie, gdy głos Hierowskiego zamiera wśród garstki wybranych.

Hierowski żąda stosowania wobec siebie taktyki, którą on sam uzna za fair. Czy jednak w metodach krytyki literackiej uchodzi za fair bezapelacyjne gilotynowanie niedrukowanych jeszcze utworów, które zna się jedynie z fragmentów, lub których nie zna się wcale? Czy nie jest to działanie na szkodę interesów zawodowych pisarza? Czy jest fair walczyć wciąż insynuacjami, wytykając je równocześnie innym.

Hierowski szuka wszędzie objawów megalomanii regionalnej. Dlaczego jednak nie dostrzega własnej? Argument z nadętymi „balonikami", które flaczeją za nakłuciem szpilki, może się stać obosieczny.

Zastrzeżenia moje nie są odosobnione. Po ukazaniu się cytowanego artykułu w „Gościu" otrzymałem z kilku stron wyrazy uznania, że wreszcie „dobrał się" ktoś do nietykalnego bożyszcza. Hierowski istotnie przebrał miarę i stracił w dużej mierze pierwotną popularność w sferach literackich i czytelniczych Śląska. Sfery te chętnie widziałyby w krytykach jego więcej rzeczowości, którą coraz bardziej przesłania zaprawiony jadem tupet. Ton artykułu „Ofensywa obrażonych" nie sprzyja podjęciu rzeczowej dyskusji na poruszone w nim tematy.

Z poważaniem

Kazimierz Gołba, Katowice.

Sprostowanie i odpowiedź

Do redaktora „Odry".

Uprzejmie proszę o zamieszczenie następujące sprostowania: W 27 numerze (136) z dnia 4 lipca br. w dziale zatytułowanym „Wśród czasopism", podpisanym kryptonimem (ki) złośliwie przekręcono sens zdania w szkicu biograficznym prof. Stanisława Kolbuszewskiego o Anieli Ślązaku, zamieszczonym w miesięczniku „Śląsk", nr. 1—3, styczeń—marzec b. r. przez opuszczenie w cytacie jednego słowa.

Zamiast inkryminowanego przez autora przeglądu czasopism zdania, należało w tym miejscu zacytować: „W psychologii mistyka jest coś dla ludzi zwykłych przerażającego"... Autor przeglądu opuścił słowo: „W psychologii"... Opuszczenia słowa w tym wypadku najistotniejszego nie podobna tłumaczyć błędem drukarskim, gdyż dotychczas nie podano żadnego sprostowania i jak zaznacza (ki) ma to być przykład błędów, których rzekomo w tekście profesora Kolbuszewskiego ma być więcej, ale których (ki) nie miał odwagi po swojemu komponować.

W obronie dobrych obyczajów pisarskich podaję ten fakt bezceremonialnego obchodzenia się z cudzym tekstem do wiadomości Czytelników tak zasłużonego i popularnego czasopisma, jakim jest tygodnik „Odra". Równocześnie jako asystent profesora poczuwam się do obowiązku zwrócenia uwagi autorowi przeglądu czasopism, że nie będzie wystarczającym zadośćuczynieniem za wyrządzoną profesorowi krzywdę, jeśli to sprostowanie nie wywoła i z jego strony odpowiedniego oświadczenia.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy mojego głębokiego poważania

Marian Smereka.

*

W związku z listem p. Mariana Smereki wyjaśniam, co następuje:

W użytym przeze mnie cytacie rzeczywiście nastąpiło przekręcenie zdania spowodowane niestety przeoczeniem, a nie bynajmniej złośliwym przekręceniem, jak się fakt ten podobało nazwać p. Smerece. Ponieważ za przeoczenie odpowiadam, czuję się w obowiązku przeprosić za nie prof. Kolbuszewskiego.

Sprawa dalsza: artykuł prof. Kolbuszewskiego począwszy od pierwszych zdań napisany jest z obcą językowi polskiemu manierą składniową, polegającą na umieszczaniu orzeczenia na samym końcu zdania, co stanowi konstrukcję sztuczną i zaciemniającą sens zdań. P. Smereka może sobie to bez trudu sprawdzić i to nie tylko w tej pracy swojego profesora.

Że mimo wszystko i poza tym artykuł pewne błędy zawiera, służę przykładem:

„Wyjazd jego do Wrocławia wydaje się dosyć d z i w n y m, ale jeszcze bardziej d z i w n y m wydać się musi, co się dalej tu stało" (str. 3, wiersz 7 i nast. od góry).

O zniekształcenie tekstu miał się p. Smereka prawo upomnieć nawet nie „jako asystent profesora". Skoro jednak z tego stanowiska czerpie tu asumpt, muszę się przyznać, że nie wiedziałem, że pozycja asystenta przy katedrze uniwersyteckiej zobowiązuje do pisania polemik w imieniu profesora. Gratuluję p. Smerece stanowiska, ale nie zazdroszczę. **(ki)**

Rys. Witold Ciechanowicz

i jawa

Skojarzenia

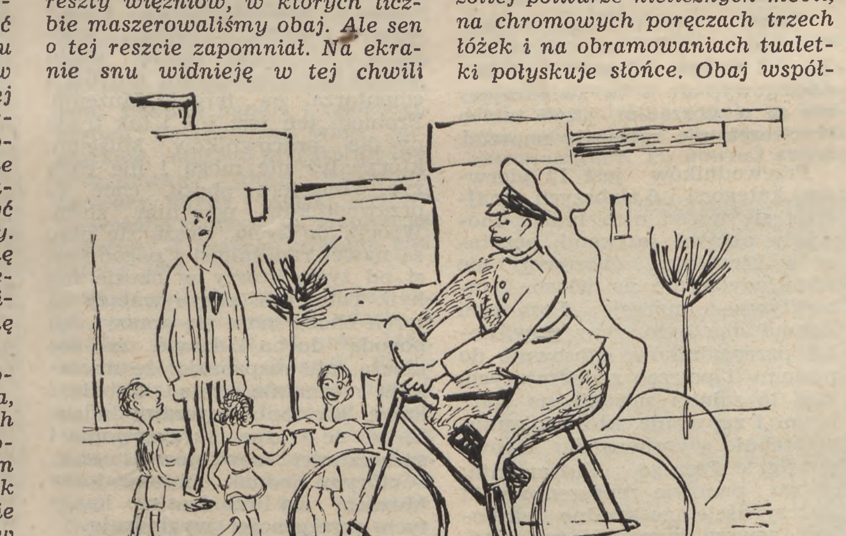
Różnego rodzaju są kompleksy, z którymi byli więźniowie obozów koncentracyjnych wyszli na wolność. Wytwarzał je wśród niesamowitych okoliczności głód, rozpowszechniał krańcowy niedostatek, rodziła w mękach niepewności trwoga. W gnębionej i prześladowanej masie, w walczącej o byt i wzajemnie wyniszczającej się gromadzie część bierna najczęściej broniła się nieufnością, która w końcu stała się przyzwyczajeniem psychiki ciemiężonych. Wyniesiona na wolność objawiła się owa nieufność w unikaniu ludzi, w stronieniu od bardziej ludnych miejsc, w niechęci do tłumu, stała się mniej lub więcej zdecydowaną predyspozycją psychiczną. Wytłumaczona w anormalnych warunkach, nie znajduje wytłumaczenia w warunkach normalnych. Musi być pojęta jako balast psychiczny. Przylgnąć do gromady, stać się jej cząstką! W zdrowej atmosferze społeczności, w zdrowym klimacie współżycia wyleczą się chore dusze.

Nawet taki obiekt jak pensjonat może w wyobraźni osobnika, który w anormalnych warunkach doznał krzywdy od życia zbiorowego, skojarzyć się z... obozem koncentracyjnym. Istnieją wszak punkty styczne: skoszarowanie życia, no a choćby te sygnały w porze posiłków.. po co zresztą wymieniać! Skojarzenia są dalekie i nieistotne. Niemniej jednak...

Niemniej jednak ze skojarzeń tych prawdopodobnie wyłonił się mój sen. Nawiedził mnie w pensjonacie podczas pierwszej nocy na wczasach. Sytuacja jest następująca:

Jak co dzień przechodzimy piątkami przez bramę obozową z ironicznym napisem „Arbeit macht frei". Idziemy do pracy. Kroczę jak zwykle w swojej piątce, ale nie mogę się dzisiaj oprzeć dziwnemu wrażeniu, że coś... gdzieś ...jakoś.. może ponad kolumną maszerujących... może w nas wszystkich... a może tylko we mnie... że coś... gdzieś... jakoś... bardzo... bardzo silnie błyszczy. Nie wiem tylko co. Idziemy jak co dzień tą samą drogą. Nagie drzewa, puste pola, martwota. Ale te nagie drzewa zdają się dzisiaj niepospolicie błyszczeć, puste pola są jakby nafosforyzowane, martwota świeci dziwnym blaskiem. Złudzenie. Naprawdę krajobraz dzisiejszy jest tak samo martwy, pusty i nagi jak w każdy inny dzień późnej jesieni. Niebo powleczone dokładnie matową barwą chmur, a tych nie przekłują igiełki słabych promieni. Pod takim niebem nie może zabłysnąć żaden krajobraz. A jednak coś błyszczało. Błyszczała siekiera. Uświadomiłem to sobie w chwili, kiedy zamigotała w ręku jednego ze współwięźniów, który rzucił się z nią na esesowca. Widzę, jak obydwaj mocują się ze sobą. Równocześnie widzę, jak inni SS-mani biegną w ich kierunku, by obezwładnić więźnia. Co robić? Czy pomóc współwięźniowi, który i tak w końcu ulegnie ich przewadze? Nie mogę przez chwilę powziąć decyzji. Tymczasem napadnięty SS-man zauważa mnie i błyskiem oczu grozi mi, że jeżeli mu nie pomogę, zemści się srodze, gdy nadbiegną tamci.

Gdyby to wszystko działo się w rzeczywistości, trzeba by w tym miejscu opisać zachowanie się reszty więźniów, w których liczbie maszerowaliśmy obaj. Ale sen o tej reszcie zapomniał. Na ekranie snu widnieję w tej chwili tylko ja, obydwaj mocujący się i nadbiegający esesowcy. Ci ostatni właśnie dobiegli do walczących. Przez mgnienie oka mam jeszcze ochotę pomóc stawiającemu bohaterski opór esesowskim zbirom współwięźniowi, pomimo że zdaję sobie w pełni sprawę z całej beznadziejności sytuacji. — Przez mgnienie oka. Potem świadomość nieuniknionej klęski bierze górę nad chwilą wielkości we mnie, w sercu odzywa się małość. Przypomina się skierowany do mnie groźny błysk oczu napadniętego przez mego towarzysza niedoli SS-mana. Opanowuje mnie strach, że skoro esesowcy załatwią się z napastnikiem, wówczas zabiorą się do mnie, ponieważ nie pomogłem napadniętemu. Co robić? W głowie rozkwita myśl, że póki esesowcy zajęci są obezwładnianiem broniącego się rozpaczliwie więźnia, póty nie zwrócą uwagi na mnie. Opanowuje mnie nagle zamiar ucieczki i natychmiast zamienia się w czyn.



...przerażony zauważam jadących w pościgu za mną esesowców...

Trwoga mi depce po piętach. Z wiatrem w zawody pędzę przez środek ulicy. Nadziewam się w biegu na gromadkę bawiących się dzieci. Tu zatrzymuję się. Jakoś bezpieczniej czuję się pomiędzy nimi, pod ich osłoną. Ale zanim zdążyłem należycie odsapnąć, przerażony zauważam jadących w pościgu za mną na rowerach — esesowców. Skamieniałem. A potem spłynęła na mnie ulga. Ścigający minęli rozdokazywaną gromadę, nie domyślając się mojej w niej obecności. Bez namysłu rzucam swoich chwilowych wybawicieli i uciekam w innym niż pościg kierunku. Uciekam, uciekam. Jakaś piwnica zapraszającym gestem ukazuje mi wstęp do swego ciemnego, bezpieczniejszego wnętrza. Wpadam w to wnętrze wciąż jeszcze pod wrażeniem pościgu. Błądząc rękami w ciemności posuwam się po omacku naprzód. U kresu mroku widnieje skrawek dnia. Docieram w końcu do jakichś okratowanych drzwi. Tarasując się od tyłu barykadą jakichś starych, będących pod ręką gratów, przygotowuję się za kratą do obrony — na wypadek przybycia pościgu. Zbyteczny trud. Kryjówka moja wydaje mi się nagle nienawistnym potrzaskiem. Budzę się.

Budzę się oczywiście w schludnym, białym łóżku. Pokój zalany olśniewającą jasnością dnia. Na żółtej politurze nielicznych mebli, na chromowych poręczach trzech łóżek i na obramowaniach tualetki połyskuje słońce. Obaj współlokatorzy śpią oddychając głęboko. Twarze ich mają wyraz pogodny jak niebo za oknami. O czym oni mogą śnić? Czy w ogóle coś im się śni? Jeżeli tak, to na pewno nic takiego, co by było podobne do moich koszmarnych zwidzeń. Obaj nie doświadczyli zła obozów, a czas pogardy przeżyli pracując w swoim fachu. Pogodne w uśpieniu oblicza świadczyć mogą o pogodnych snach.

W tej chwili obce mi są jakiekolwiek skojarzenia z co dopiero przeżytym snem.

Aleksander Widera

MARIAN PANKOWSKI

Portret

Odgarnij włos kamienny.
Odetchnął profil.
Powietrze form dobiera tkliwych.
Godziny zajęły się sobą,
byś mogła ujść pogoni.
Patrzysz.
I wszystko jest rysunkiem dziecka.
Wieczna.
Podkrążona ciałem.

W lasach

(Dokończenie ze strony 1)

nawet tysiącach miesięcznie, co w tym łagodnym kraju masła po 250 złotych kg, jest sumą niemałą.

Deski i belki z Kalniszek pójdą na stropy i podłogi Szczecina, Gdańska, bliskiego Białegostoku. Runkiewicz trzęsąc brzuchem biega po tartaku, ja za nim. Ten białowieski entuzjasta wierzy w rozrost swojego warsztatu pracy. Ja również. Spraw Boże, aby do tego kraju, dokąd nie dojeżdżają władze z Warszawy, Olsztyna, Białegostoku, zjechało jak najwięcej Runkiewiczów, aby oni stanęli na czele tartaków i państwowych majątków ziemskich zamiast administratorów - złodziei, których niekiedy trzeba zamykać. Opodal Grabowa, wsi rozłożystej, bogatej, pięknie i wesoło położonej po obu stronach szosy asfaltowej z Giżycka do Gołdapu, jest wielki majątek. W ciągu lat ostatnich gospodarowało nim już kilkunastu administratorów. Wszystkich po kolei zamykano za złodziejstwo albo nieudolność. Teraz przyszedł tam młody agronom, człek kościsty i milczący; gdy pokazywał mi pola i huczące traktory, gdy mówił o koniach, które mają dość owsa i codziennie są tarte zgrzebłem — śmiały mu się szaro - jastrzębie oczy. Agronom biega w shortach, początkującym traktorzystom zapala motory i łagodnie wyjaśnia tajemnicę świecy zalanej oliwą. Grabowo doczekało się administratora, ale inne obiekty jeszcze nie. W każdym razie nie wszystkie.

W spółdzielni Samopomocy Chłopskiej, we wsi czerwonej od porzeczek i błyszczącej szybami czystymi jak lustro, biorę benzynę. Chłopi oceniają motocykl jak dojną krowę. Gdy domyślam się tego, uśmiechają się rozbrojeni i zażenowani: ano tak. Mówię im o krowie, jaką ma moja matka w Mrągowie koło Olsztyna: wiecie? krówsko daje do 30 litrów mleka dziennie. Zazdroszczą. Rozmowa politycznieje: no panie, a jak tam będzie z naszymi ziemiami, tutaj na zachodzie. I nie czekając na odpowiedź mały rudy człeczyna w lnianych portkach - kalesonach do koszenia mokrych łąk, rąbie: gówno nam Niemcy zabiorą. To je nase i bedzie nase — ni? Ściskam mu rękę. Bez patosu, bo i u niego nie było patosu. Był tylko uśmiech.

Odjeżdżam dalej. Chłopi zostają jak powrastane w zielony krajobraz posągi.

Narciarskie spodnie, mechanik z Wilna list do ministerstwa

Buszuję motorem po wielkim kwadracie, wbitym między Białystok i Suwałki. Wypoczywam nad jeziorem w Giżycku, słucham „nocy w Zakopanem" w Augustowie, jem obiad harcerski w suwalskich lasach, podwożę bose babiny brnące po 10 km do kościoła w Knyszynie, wysłuchuję w Grabowie mszy i kazania krótko strzyżonego księdza, który sztorcuje naród za przeciekający dach i daje chłopom ultymatywny termin na wyreperowanie kościoła. Bardzo boli mnie serce, gdy mijam popalone kompleksy zabudowań. Uśmiecham się do pionierów - bocianów, stojących na smukłych nogach na strzechach domów, w których jeszcze nikt nie mieszka.

Powoli odnajduję w sobie obraz tego kraju, który jest częścią mojej ojczyzny. Kraj zbyt jeszcze ciągle traktowany po macoszemu, zbywany byle czym, niedoglądany dostatecznie starannie, niepotrzebnie poprzetykany wioskami niemieckimi, których ludność czeka zbyt długo na abfart za Odrę.

Ciemne, gorące lasy, kilometrowe chmury komarów, ludzkie rozmowy przy lampkach naftowych stają się powoli świadomością, nowym życiem, wiarą w cenność Mazurów. Jasne oczy jezior wykwitające nagle wśród lasów usposabiają do życia jakoś prościej, szlachetniej. Tu trzeba ludzi, ludzi. Tu muszą zjechać chłopcy wydeptujący bruk przed miejskimi urzędami zatrudnienia, tu powinny przyjechać poniewierające się dziewczęta, w tych domach całych, niekiedy pustych wsiach, powinny się zacząć rodzić dzieci, rosnąć stogi, pęcznieć stodoły.

Dopiero wśród krajów podoleckich, giżyckich, gołdapskich widzi się prawdziwą wartaść człowieka pracy.

W Olecku ładny chłopiec z grabiami i na rowerze wynajduje wspólnych znajomych z Wilna i Tadzio bez bujania opowiada o swojej pracy w miejscowej elektrowni. Dobrze mu tu. Nie gnieździ się już jak kiedyś na Antokolskiej w smrodliwym pokoiku. Ma willę własną, ogród. Ale otaksowawszy mnie, pyta, czy mógłbym napisać list do ministerstwa w sprawie brata, który dotąd przegapiwszy termin wałęsa się po Wilnie. Polska chyba pozwoli mu wrócić, mimo że się spóźnił. Jak myślę?

Wstępuję do czystego domu. Ładna siostra prosi, abym usiadł „za stołem", piszę, piję mleko, zapewniam ich bezprawnie w imieniu ambasadora R. P. w Zw. Radzieckim, że brat - szaławiła wróci i że wszystko będzie dobrze. Chłopiec pokazuje własnoręcznie zrobione parolampowe radio. Zalewa fachowymi pytaniami. Niedarmo był radiotelegrafistą na trasie Lenino — Berlin. Odjeżdżam podniesiony na duchu.

Dzień następny spędzam w majątku pod Gołdapem i ścieram się z szefem powiatowego U. B., z powodu ludzi przybyłych z miasta do pomocy w żniwach. Urzędnik bezpieczeństwa przyznaje mi w końcu rację, ale zżyma się i nie wie, jak złu zaradzić. Ja też nie wiem. Widzę je tylko. A o co chodzi? Starostwo, magistrat i jeszcze jakieś urzędy przysłały do roboty na jeden dzień urzędników. Panienki — maszynistki i referentki przyjechały w piżamowych i narciarskich spodniach, panowie w zaprasowanych ubrankach. Przyjechali około dziewiątej, dzień rozżarzył się. Zaczęli od zsiadłego mleka, potem przywieziono ze spółdzielni wódkę, potem wypadł obiad i sjesta, potem na polu, dokąd ostatecznie panie i panowie się udali, potworzyły się pary i zaczęły się spacery, przerywane okrzykami zachwytu na widok grubołydych chłopek, sprytnie zbierających zboże za żniwiarkami. Do luftu taka pomoc! powiedziałem. Zaczęli się krzywić. Administrator przerażony „władzą" z miasta, dziękował mi niemym spojrzeniem. Urzędnicy zabrali się do roboty. Zrobili tyle co kot napłakał, powsiadali do samochodów i odjechali do miasta. Proszę państwa, postanowiliśmy w tym roku, że ludność miejska pomoże wsiom na Ziemiach Odzyskanych przy żniwach. Nie można robić lipy. Mam chyba rację?

„Inspektor", referentka, przedstawienie w Augustowie

Mam szczęście do Olecka. Spotykam zespół Miejskiego Teatru Dramatycznego z Białegostoku w objeździe ze sztuką „Pan inspektor przyszedł". Administrator był ze mną kiedyś w wojsku, z aktorami zaprzyjaźniłem się błyskawicznie, postanawiam przyjechać się z zespołem, popatrzeć jakże ten „inspektor" będzie wyglądał w lasach, którym powoli, ale systematycznie dobieram się do skóry. Zespół składa się z aktorów utalentowanych, na ogół młodych, oddanych pracy, zasługujących choćby tą drogą — raz jeszcze — na bardzo serdeczny uścisk ręki. Po Olecku idzie miasto powiatowe N. Tutaj wybucha nonsens. Miejscowa referentka kultury i sztuki (o sztuko!...) nie zgadza się na wystawienie „Inspektora". Administrator wyciąga stos licencji, upoważnień, rozkazów. Nic nie pomaga. Chłopak wydzwania Warszawę, prosi ministerstwo. Z ministerstwa besztają tępą panienkę, ale ta zasłania się bzdurami, brakiem pewności z... kim ona właściwie ma zaszczyt w tej Warszawie rozmawiać. Ostatecznie przedstawienie odbyło się. Ale aktorzy cały dzień biegali w białej gorączce i klęli ukulturniającą misję.

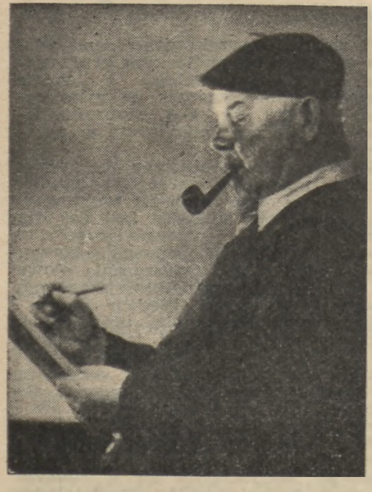
Tak to było.

Objechałem z zespołem kilka miejscowości. Czasem ludzie brali nas za cyrk i dziwili się, że nie rozbijamy namiotu, ale na ogół spektakle mijały przy wypełnionych salach, ludzie wyrywali sobie drukowane programy, widać było, że łakną dobrego teatru, że trzeba się nimi opiekować i jak najczęściej do nich przyjeżdżać. To nic, że w Suchowoli mieszkania dla „komediantów" trzeba było wynaleźć aż przy pomocy milicji, to nic, że gdzie indziej aktorzy poszli głodni spać.

Tę polską biedę kulturalną na rubieżach trzeba łagodzić. Trzeba sycić sztuką. Trzeba by tam stale wracali inspektorzy. — Nie priestleyowcy, ale inspektorzy pióra. Inspektorzy serdecznej Polski.

Jerzy Bazarewski

Mikrofon śląski



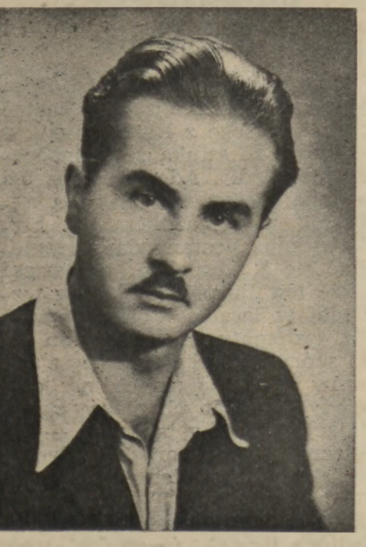
Stanisław Ligoń należy do najstarszych wykonawców radiowych. Występując w swych audycjach regionalnych pod mianem Karlika, zdobył sobie olbrzymią popularność. Przedwojenny cykl jego audycji „Przy żeleźnioku" przynosił doskonałą satyrę antyhitlerowską, przez co Ligoń narażony był na ustawiczne ataki prasy niemieckiej, która nawet — już w okresie okupacji — domagała się odszukania go i ukarania śmiercią („Oberschlesischer Wanderer"). Okres wojenny przebył prof. Ligoń w Palestynie, skąd powrócił w roku 1946. Ligoń jest autorem dwutomowego zbioru dykteryjek i opowiadań gwarowych „Bery i bojki śląskie" oraz widowiska scenicznego „Wesele na Górnym Śląsku".



Helena Płonkówna stworzyła doskonały typ odtwórczyni radiowej w dialogach „Hanys z babą", poruszających w ramach audycji regionalnej „Wczoraj była niedzieliczka" i w audycjach werbunkowych dla górnictwa (fala ogólnopolska) „Niech żyje górniczy stan" najżywotniejszą problematykę społeczną i kulturalną regionu śląskiego.



Marian Jastrzębski, aktor Państwowego Teatru Śląskiego, występuje stale przed mikrofonem Polskiego Radia w Katowicach w audycjach regionalnych „Wczoraj była niedzieliczka" jako Zeflik, w dialogach z prof. Ligoniem.



Zdzisław Pyzik należy do rzędu najlepszych reporterów radiowych. Szczególnie cenny jest cykl jego reportaży „Tu mówi Śląsk", stanowiący barwny opis życia i twórczości Śląska w rozmaitych dziedzinach. Doskonałe opanowanie techniki radiowej w połączeniu z pięknym literackim słowem tworzy z jego audycji najwartościowsze pozycje programu polskiego.

Wśród czasopism

Warto chyba zaprzątnąć czytelnikowi od czasu do czasu uwagę pismami, o których mówi się mało, które mają swoje specjalne kręgi czytelników i spełniają swoją rolę bez rozgłosu.

Zacznę od miesięcznika, o którym czasem wspominało się już tutaj. Chodzi o organ Związku Polskich Artystów Plastyków *Przegląd Artystyczny*, wychodzący w Krakowie. Domagaliśmy się kiedyś dla tego pisma większego zainteresowania ze strony czytelników. Zainteresowanie to jest konieczne ze względu na niski stan kultury plastycznej w Polsce i ze względu na bardzo szkodliwe u nas nawyki ferowania łatwych wyroków o dziełach plastyki. Zainteresowanie to jest konieczne, gdyż nasza prasa literacka zagadnieniom sztuk plastycznych poświęca stanowczo zbyt mało miejsca, czego rezultatem jest, że nawet jej czytelnicy przejawiający już poważniejszy i głębszy stosunek do zagadnień sztuki w ogóle nie są dostatecznie informowani i nie otrzymują należytego oświetlenia zagadnień współczesnej plastyki. Z pism literackich chlubnym wyjątkiem są tutaj *Nowiny Literackie*, które przynoszą w każdym numerze małą serię reprodukcji i które o plastyce piszą stosunkowo najwięcej. Chyba można to przypisać wpływowi redaktora naczelnego, Jarosława Iwaszkiewicza, którego zainteresowania artystyczne są naprawdę wszechstronne i w których plastyka zajmuje poczesne miejsce. Gdy Iwaszkiewicz obejmował *Nowiny*, gadało się tu i ówdzie, że redaktor z niego nie będzie. Tymczasem w tej dziedzinie inni redaktorzy mogliby brać z niego przykład. Zresztą i z innymi sprawami *Nowin Literackich* nie jest tak źle, skoro zdecydowały się wystartować nieciekawie i w ciągu roku przejść wielką ewolucję in plus, która zapewniła im wśród polskich periodyków literackich pozycję bardzo wysoką.

Ale to tylko dygresja na marginesie tematu głównego. Chodzi bowiem o *Przegląd Artystyczny*, którego nie przestanę czytelnikom gorąco polecać dopóki dane mi będzie zapełniać tę rubryczkę komentarzami o pismach. Miesięcznik ten to minimum lektury, jakie powinien poświęcić sprawom plastyki każdy kulturalny człowiek. Chciałbym zwrócić uwagę, że w piśmie tym jest stosunkowo mało fachowej „adrykadabry", która mogłaby zniechęcać mało przygotowanego czytelnika. Redagowane jest po literacku (ma nawet kierownika literackiego, którym jest Stefan Flukowski, drugi obok Iwaszkiewicza, jeśli chodzi o zainteresowania plastyką wzór dla literatów). Druga zaleta: często i obszernie (po prostu z zasady) informuje o zagranicy. Trzecia zaleta: równie często sięga w przeszłość malarstwa światowego. Czwarta: dużo i dobrze pisze o teatrze. No i piąta: przynosi kronikę krajową.

Numer podwójny za czerwiec i lipiec poświęcony jest w pierwszej części życiu i twórczości Pawła Gauguina, o którym piszą: Maria Flukowska, Ambroise Vollard i Henryk Gotlib, przy czym część tę dopełnia dziewięć doskonałych reprodukcji. Sporo też miejsca poświęcono Jouvetowi i jego teatrowi. Mamy więc obszerny artykuł samego Jouveta „Teatr — to poezja i miłość" oraz artykuł Wł. J. Dobrowolskiego „Jouvet i plastyka sceniczna". Dalej całą kolumnę numeru zajmują reprodukcje prac naszych plastyków, nadesłanych na konkurs olimpijski. Jerzy Wolff omawia bardzo u nas ostatnio aktualną sprawę nowego typu muzeum, poruszoną już przez *Twórczość*, a Jindrzich Chalupecky daje charakterystykę nowych tendencji w młodym malarstwie czechosłowackim. Są jeszcze drobniejsze prace dotyczące Marquet'a i Matisse'a, jest list z Ameryki Augusta Zamoyskiego, omówienie wystawy portretu polskiego i na pięciu kolumnach omówienie wystaw organizowanych ostatnio w różnych częściach kraju.

Dawno już nie przypominałem czytelnikom, że istnieje miesięcznik *Życie Słowiańskie*. Pismo wydawane jest przez Komitet Słowiański w Polsce i służy dobrze sprawom całej Słowiańszczyzny od Związku Radzieckiego po malutkie uratowane od ostatecznej zagłady autonomią kulturalną Łużyce. Kilkudziesięciostronicowe zeszyty *Życia Słowiańskiego* przynoszą zawsze treść bardzo obfitą i różnorodną, gdyż w każdym numerze w tej czy innej formie znajdują omówienie sprawy wszystkich bez wyjątku państw słowiańskich. Ponieważ prócz Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, które dysponuje swym własnym organem *Przyjaźń*, inne towarzystwa polsko-słowiańskie nie mają swoich pism, *Życie Słowiańskie* zasługuje tym bardziej na polecenie. Format książki ułatwia kolekcjonowanie numerów, a roczniki pisma stanowią prawdziwą encyklopedię wiedzy o Słowiańszczyźnie.

Inne z zapomnianych pism to doskonale redagowany miesięcznik *Teatr Ludowy*. Jest on organem Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych, ale zakres jego jest znacznie szerszy. Pismo to służy w ogóle sprawie teatru ochotniczego w Polsce i wydaje mi się niezbędną lekturą dla każdego tego rodzaju zespołu. Prócz zawsze interesującej części artykułowej przynosi dużo dobrego i opracowanego inscenizacyjnie materiału repertuarowego, orientuje w nowych wydawnictwach i w pracach teatrów ochotniczych w kraju. Z numeru czerwcowego chciałbym zwrócić uwagę na artykuł redaktora naczelnego Teofila Matejki „Objazdowy teatr zawodowy dla wsi". Artykułowi temu grozi, że może przeminąć bez echa, a przecież w tej ważnej sprawie zrobiono u nas po wojnie straszliwie mało. Problem to i technicznie skomplikowany, ale trzeba nareszcie pomyśleć o jego częściowym choć rozwiązaniu, o spełnieniu minimum, które postuluje Teofil Matejko — stworzeniu na razie dwóch doświadczalnych tego typu teatrów, jednego dla Ziem Odzyskanych, drugiego dla ziem starych. Warto przypomnieć, że Czechosłowacja problem ten w dużej już mierze załatwiła i w Czechach, i na Słowacji.

Na zakończenie słów parę o miesięczniku *Znak*, organie intelektualistów katolickich. W numerze za maj — czerwiec zwracają uwagę na wstępie dwa artykuły: Pawła Jasienicy „Prawo słabszych" i Konrada Górskiego „Charakter narodowy Polaków w oczach pisarzy". Artykuł Jasienicy dotyczy problemu Ziem Odzyskanych. Osobiście odczuwam go jako nieadresowaną odpowiedź na list Piusa XII do biskupów niemieckich. Argumenty i konkluzje Jasienicy są trafne i zgodne z powszechną opinią w Polsce. Powtarzać ich tu nie trzeba, ale warto zaznaczyć, że w tym właśnie piśmie ich nie pominięto. *(ki)*

Rozmowy z polskimi marynistami

Jerzy Bohdan Rychliński



Niewielu jest w polskiej marynistyce pisarzy tak wiernych morzu i tak fachowo znających jego sprawy i ludzi jak Jerzy Boh. Rychliński. W ciągu trzydziestu prawie lat pracy literackiej wydał Rychliński dziewięć własnych, wyłącznie marynistycznych książek oraz kilkanaście doskonałych przekładów z obcej literatury marynistycznej. Ta zadziwiająca morska pasja i wierność morzu pasuje go na prawdziwego morskiego wilka polskiej literatury marynistycznej.

Zaczął od tomu wierszy marynistycznych, wydanych w r. 1921 p. t. *„Latający Holender"*. Wybitny krytyk owego czasu, Zdzisław Dębicki, pisał po wydaniu tego tomiku w „Kurierze Warszawskim" (Nr 51 z dnia 20 lutego): „Po raz pierwszy przemawia do nas w tych poezjach morze nie głosem zdawkowego sentymentu i leniwego marzenia o szafirach Liguryjskiej zatoki, ale siłą i grozą swego żywiołu, który my, Polacy, mamy dopiero opanować." Następne pozycje to cykl nowel p. t. *„Mah-Jong"* (rok 1925), częściowo drukowanych w „Wiadomościach Literackich", następnie powieści: *„Błękitny szpieg"* (1925), rodzaj powieści-scenariusza, *„Róża korsarska"* (1928), której akcja rozgrywa się w morskiej republice słowiańskiej, stylizowanej na republice wineckiej, u ujścia Odry, następnie *„Przygody Krzysztofa Arciszewskiego"* (1935), stanowięce rodzaj panoramy batalistycznej z pocz. XVII wieku, dalej dwie opowieści historyczne dla młodzieży: *„Był bój pod Oliwą"* (1936) i *„Skarbiec Bałtyku"* (1937), oraz po wojnie *„Słowo o admirale Arciszewskim"* (1947) i powieść korsarska z czasów Napoleona p. t. *„Czarna feluka"* (1948). W druku znajduje się jego najnowsza powieść *„Kulawy bosman"*, osnuta na tle zniszczenia floty Zygmunta III w Wismarze.

Warto również przypomnieć działalność przekładową Rychlińskiego. Przetłumaczył 3 „Conradów" (Korsarz, Tajfun, Ukryty sojusznik), 6 morskich Londonów, powieści marynistyczne J. F. Coopera, R. Hughesa, C. S. Forestera i wiele innych.

— Moim zdaniem — mówi Rychliński — przekłady są nieuniknione i konieczne dla polskiego marynisty. Oczywiście polski marynista nie może się obejść bez wyszkolenia i morskiej praktyki, ale przekłady dają mu wyćwiczenie, biegłość w terminologii, w odcyfrowaniu manewrów, a nawet technologii. Skoro polski marynista musi o każdą swą książkę staczać bój przy milczeniu krytyki, która chce wiedzieć co najwyżej o Conradzie-Korzeniowskim, może on się wyrobić tylko na przekładach. Poza tym polski marynista, jeżeli chce się ostać jako twórca oryginalny, musi doskonale znać wątki fabularne, postacie i psychiki popularnych bohaterów, opisy manewrów u Coopera, Forestera, Melville'a, Loti'ego, Farre'ra, Nowikowa-Priboja i całej plejady gwiazd na morskim firmamencie literatury.

— Zapewne „morskiej praktyki" nabył Pan pełniąc służbę oficera marynarki?

— Do pewnego stopnia. Zresztą proszę mi wskazać choć jednego marynistę z prawdziwego zdarzenia, który by nie był kiedyś marynarzem albo włóczęgą morskim? Nie byłem co prawda prawdziwym „wilkiem morskim". Tacy zresztą z reguły nigdy nie są ludźmi pióra. Owszem zdarzyło mi się być marynarzem, choć rzekomo w podrzędnym, tandetnym gatunku. Należałem do „miczmanów czasu wojny". To był taki lichy rodzaj oficera-inteligenta, dla zastępowania prawdziwych miczmanów, przysłowiowej „białej kości". Cóż mogło z tego dobrego wyniknąć? Stanęliśmy, przynajmniej większość z nas, po stronie marynarzy i rewolucji. Czym mi wypadło być i co robić, pominę milczeniem dziś, kiedy każdy pozuje na wielkiego rewolucjonistę i demokratę. Ale rewolucyjna etykietka (wtedy była to ujma) włokła się za mną i w marynarce polskiej, przepełnionej „białą kością".

— Pewnym pańskim powieściom stawia się zarzut sensacyjności. Na przykład „Błękitny szpieg", czy choćby „Róża korsarska" zawierają takie fantastyczne skróty impresji i skłonność do zbytniej hiperbolizacji, że stwarza to wrażenie pewnej sensacyjności.

— Możnaby powoływać jako przykład Poego czy Farre'ra, ale nie mówić o sensacji. To Jim Poker (Ginsbert) był sensacyjny. Konstruowane przeze mnie intrygi i sytuacje polegały przeważnie na prawdzie. Raczej ją tylko przeobrażały. Na przykład, istniało u nas w latach 1921—22 grubo subsydiowane przez rząd towarzystwo żeglugowe, zakupujące wraki i zatapiające je dla premii. Odbicie tego znajdzie Pan w „Róży korsarskiej". Albo dalsze sensacyjne zagadnienia. Nasze drobnomieszczaństwo wiedziało, że u nas, w marynarce, dzieje się coś szczególnego i godziło się z tym bezkrytycznie. Było publiczną tajemnicą, że różne „Rittery" i „vony" nosiły u nas flagoficerskie dzyndzołki. Akselbanty to głupstwo, ale dawały one dostęp do sekretów i personalii. Wiedziano, że wysyła się oficerów marynarki na studia, aby ich, zaraz po powrocie, przenosić w stan spoczynku. Wszystko było jasne, konsekwentne od samego początku. Silimonis z „Róży korsarskiej" to postać autentyczna, oparta właśnie na takich wydarzeniach. Czy mam przytaczać inne „sensacje"? Nie wykorzystałem i dziesiątej części materiału, szczególnie tego najboleśniejszego. Okazuje się, że dziś znowu powtarza się narodowy epos niemiecki o Reinecke-Lisie, wystylizowany ongiś u Goethego. Jak to zbrodnie wspaniałego Reinecke wywołały krzyżowe wyprawy wszystkich zwierząt na jego zamek, pod przewodnictwem samego Lwa. Już Lisa pojmano, już go wieszano, lecz w ostatniej chwili sprytny Lis zdołał oszwabić Króla Zwierząt obietnicami. I jak w rezultacie Reinecke-Lis został kanclerzem Lwa, a jego miłe potomstwo ucztuje na trupach. Czy nie dość sensacji? Czy trzeba przypominać, że dawno zaczęło się to, co się skończyło na Westerplatte i że makabryczne sceny warszawskie z roku 1944 to tylko wyolbrzymiona rzeź Gdańska z roku 1310? Dlatego w mojej marynistycznej twórczości tak chętnie sięgam do historii, a okolicznościowo i do „fantastycznych", rzekomo, fabuł o zatapianiu przez towarzystwa żeglugowe wysoko ubezpieczonych statków.

— Nie zaprzeczy Pan jednak, że w wielu wypadkach, np. właśnie w „Róży korsarskiej", akcja, która toczy się w nie istniejącej morskiej republice słowiańskiej u ujścia Odry, a jednocześnie jest symboliczną symbiozą dziejów Gdańska ze Starym Miastem w Warszawie nosi charakter takiej hiperboli, że ociera się już o sensację.

Owszem, nie przeczę. Ale dużo jest w tym winy przedwojennych wydawców. To wydawca nadał „Róży korsarskiej" charakter sensacji i skłonił mnie, autora, do zastąpienia epilogu banałem. Zatarła się konstrukcja i myśl przewodnia. W rezultacie utwór zawierający sen o wielkiej Słowiańszczyźnie, jest bez kręgosłupa, tandetnie zamerykanizowany. Wydawca zrobił w retuszu to, co później pewne towarzystwo filmowe, które rozpoczęło ze mną pertraktację o przeróbkę filmową „Róży korsarskiej", następnie wycofało się i nakręciło jakąś szmirę pod innym tytułem na tle mojego pomysłu fabularnego. Podobnie było, choć w cokolwiek mniejszym stopniu z „Przygodami Krzysztofa Arciszewskiego". I na tej powieści odbiła się merkantylna eksploatacja. W pierwszej umowie, anulowanej już, było wymówione, że autorowi nie wolno napisać nic nadto o Krzysztofie Arciszewskim. Po prostu kupno samego pomysłu. A trzeba zaznaczyć, że biografia tego bohatera wymaga wiele lat studiów. Wymaga ogromnego wkładu pracy, który przeważnie idzie na darmo, bo w naszej marynistyce wyrzuca się poza nawias problematykę. Na marginesie: marynistyka to w pojęciu wydawcy tylko sensacja, skonstruowana według recepty: pałką w łeb burżuja — „pour épater le bourgeois".

Utalentowany i fachowy fabulista, komandor St. Z. Zakrzewski, powiedział mi kiedyś, gdyśmy rozmawiali o jego ultrasensacyjnym „Cyklonie": „W marynistycznym rodzaju nie sposób pisać nic, prócz sensacji". Tak samo St. M. Saliński poczynił pewne odstępstwo ku sensacji po „Opowieściach morskich", w późniejszych utworach.

— A propos „Przygód Krzysztofa Arciszewskiego". Jest to, według opinii wielu krytyków, najwybitniejsza Pańska pozycja marynistyczna. Jeśli się też nie mylę, miała ona dobrą „markę" także w prasie. Czym tłumaczy Pan sobie jej powodzenie?

— Może tym, że „Przygody" były wielkim wysiłkiem dźwignięcia marynistyki na poziom „vie romancée". Jeśli chodzi o zasadnicze fakty, oparłem je na dziele Aleksandra Kraushara. Akcent spoczywa oczywiście na fabulistyce. Obszerne, choć popularne, wyjaśnienie problematyki dałem po wojnie w roku 1947 w „Słowie o Admirale Arciszewskim". Jeśli chodzi o „Przygody", to rzeczywiście miały one przed wojną obfitą prasę, około 20 samych felietonów. Rzecz zrozumiała. Tu nie chodziło o zagadnienie formalistyczne, lecz o meritum: o chrystianizm braci polskich i czeskich, o kościół, o byt słowiańśtwa, o sprawę morską.

— W „Przygodach" wprowadził Pan osobliwą odmianę Smętka. To nie Smętek Żeromskiego, ani trywialny Niemiec, Smętek M. Wańkowicza.

— Tak, to Smętek inny, ludowy, pomorski, istna zmora sumienia narodowego, tryskająca żrącym, szubienicznym humorem. Smętek, który „kusi na wielkie dzieło", np. Arciszewskiego na podbój Brazylii. W oddanej obecnie do druku powieści p.t. „Kulawy bosman", trapiduch Smętek nabiera ciała. Zresztą dokładniejsze szczegóły o takim ujęciu Smętka znajdzie Pan w numerze 9 (7) z 1-15 lipca 1947 r. czasopisma „Warszawa", w którym umieściłem „Mowę o obronie Smętka", z charasterystyką tej postaci.

— Jeszcze jedno pytanie. Jakie są Pańskie zamierzenia literackie na przyszłość?

— Plany? Odwrócę pytanie: jak można uzgodnić moje prace na przyszłość z programem. Widzę konieczność podniesienia sztandaru „całej" Słowiańszczyzny i to właśnie na Ziemiach Odzyskanych, ponieważ istnieją one przez Słowiańśtwo i dla Słowiańśtwa. Na przykład Czechosłowacy muszą korzystać z basenu Odry i polskich portów. A my musimy im je udostępnić we własnym interesie. Są to rzeczy proste, które należy wyrażać prostym, dla wszystkich dostępnym językiem. O konkrecie tej osnowy ideologicznej trudno mówić, póki „Kulawy bosman" nie wyjdzie z druku, wkrótce upłyną dwa lata od podpisania umowy!

W *„Kulawym bosmanie"* ukazuję Smętka w pirackim rejsie z Morza Karaibskiego wgłąb Zatoki Botnickiej. Są to obrazy kinetyczne, w ruchu, jak wszystko na morzu. W dalszych, głębszych formacjach Smętek to symbol dawności Słowian na „jantarowym szlaku" (z Bizancjum, Morzem Czarnym, Dnieprem i Wisłą). Tam Bizancjum jako Car-Grad, utuczony na niewoli Słowian, tam wspaniałość Rugi Władymira „Czerwone Słoneczko", tam sholdowana Chrobremu Wineta, wenedzkie Berło (Berlin) i Wyszomierz (Wismar). To Smętek.... „pod żaglem z purpury posłował do Winety do Króla Niklota (Wyszomierz), chrześcił cudnym jantarem, tam sam Smętek, który... dziś zmora jednooka". Ale Smętek to również symbol przyszłości Słowian Zachodnich. Niedarmo z niego czarodziej, „kształcony u Maurów" medyk i powiernik tajemnic natury. To postać kluczowa, centralna. Cóż dziwnego, że przypisuję wagę do początku tej koncepcji w „Kulawym bosmanie"? Perspektywy „jantarowego szlaku" są nęcące, ale, póki czytelnik nie ustosunkuje się, mam nadzieję, pozytywnie, do Smętka, — to miraże. Rachunek bez gospodarza. Toteż szkicuję ledwie plan. Oto wszystko, co mogę Panu powiedzieć na temat moich planów.

Stanisław Telega

WIEDZA OŚWIĘCIMSKA

(Dokończenie ze strony 1)

rzędach betonowych słupów ogrodzenia i izolatorów, na których rozpięty jest drut kolczasty, ładowany ongiś prądem wysokiego napięcia — uderza zwiedzającego dokumentarność Oświęcimia. Przy pomocy choćby bardzo szczupłych komentarzy i wyjaśnień przewodnika z łatwością możemy odtworzyć sobie życie więźnia. Każdy mógł powiedzieć o sobie jak młody poeta obozowy RYSZARD STAŃKOWSKI:

„Zapomniałem przeszłości, rodziny, imienia
i stałem się numerem, cyfrą bez znaczenia.
Paszport mój? Mam na pewno! Spójrzcie po lewej stronie.
Gdzie serce bić powinno, zdala się czerwieni
Trójkąt i kształt pisanej czarnej „p" litery,
Numer sześć tysięcy pięćset dwadzieścia i cztery
to jest moje nazwisko, przeszłość i rodzina —
a czarna „p" litera — to jest moja wina!"

Toteż masowość eksponatów uderza na każdym kroku i uświadamia nieustannie masowość strat i niedolę człowieka, który musiał stać się seryjnym numerem bez znaczenia.

Najbogaciej z punktu widzenia muzealnego, zorganizowany jest do tej pory blok IV. Obok katakumb w podziemiach i sali żydowskiej znajdują się tu sale z mydełkami krematoryjnymi, z gipsowymi modelami krematoriów, z nieprzeliczoną ilością puszek z gazu cyklonu i włosów, ściętych przed gazowaniem. Są to oczywiście już resztki. Bloki V i VI, tzw. „Kanada" stanowił magazyn rzeczy odebranych więźniom, wysyłanych później do Berlina. Olbrzymie ilości plecaków, protez, lalek dziecięcych, garnków, szczotek do zębów, okularów, łyżek, widelców, noży, ubrań, walizek... stanowią nikłą część tego, co w ciągu trwania obozu przeszło przez magazyn. Blok VIII odtwarza warunki mieszkaniowe obozu z r. 1940, kiedy jeszcze nie było łóżek, blok IX już z łóżkami, piętrzącymi się w trzech kondygnacjach. Blok VII jest dopiero w stadium organizowania, ma nosić tytuł „Oświęcim walczący". Obecnie znajdują się tam sale z obrazami artystów malarzy, byłych więźniów: Brandhubera, Kościelniaka i Myszkowskiego. Im powierzono projektowanie i wykonywanie strony plastycznej sal muzealnych. Inne bloki nie są jeszcze urządzone. Z planu i wyjaśnień przewodnika poznajemy tylko funkcję, jaką spełniały w obozie. Straszliwy blok X, blok śmiercionośnych doświadczeń lekarskich; blok XI karnej kompanii, z którego nikt prawie nie wychodził żywy; bloki XIX, XX, XXI i XXVIII — to szpital, który spełniał funkcję nie leczenia, lecz zabijania ludzi; dalej magazyny, biura,, warsztaty, 23 bloki na 26 tysięcy więźniów. I tego właśnie, tego tłumu gniotącego się w nieprawdopodobnej ciasnocie wyobrazić sobie nie można. Poza terenem obozu znajduje się tzw. I małe krematorium, zniszczone przez Niemców przed ucieczką, dziś zrekonstruowane. O 4 km od obozu macierzystego znajduje się Oświęcim II, czyli Brzezinka — szara masa gęsto zbudowanych najprymitywniejszych drewnianych baraków ze zbiorowym ustępem. Nieco dalej cztery krematoria i bajorko, fermentujące do dziś dnia trupami masowo rozstrzelanych jeńców rosyjskich. Oto obraz Oświęcimia widziany w skrócie w świetle dokumentów. Nikną wobec nich resztki niedowiarstwa i wątpliwości, czy wszystko, co o Oświęcimiu mówiono i pisano było możliwe i prawdziwe. Nie ma wśród nas takich, którzy nie wierzą. Czy jednak następne pokolenie uwierzy? Czy uwierzą cudzoziemcy? Czy nie obawiają się przesadnej, szowinistycznej propagandy z naszej strony?!

Zagranica nie wierzy dotąd... Jeden Amerykanin, przyjechawszy do Oświęcimia, powiedział do przewodnika: „Panie, słyszałem o Oświęcimiu, czytałem, ale nie wierzę". Tak by chyba nikt z Polaków nie mógł powiedzieć! Jedna A n g i e l k a wprost powiedziała do oprowadzającego: „A skąd ja mogę wiedzieć, czy wyście tego wszystkiego nie wymyślili". Dopiero gdy zobaczyła kości jeńców rosyjskich w Brzezince, uwierzyła.

Dla cudzoziemców więc przede wszystkim przeznaczona być musi dokumentarność skrzętna, benedyktyńska, dokładna, drobiazgowa, zawzięta.

A jak się przedstawia ruch turystyczny w Oświęcimiu?

Do tej pory zwiedziło Muzeum 250.000 osób. Te tłumne i nietłumne wycieczki stanowią tak dla Zarządu jak i dla przewodników ogromną trudność, gdyż kultura zwiedzających pozostawia często wiele do życzenia. Zdarza się, że przyjeżdża rozbawione towarzystwo z harmonią i wódką po drodze z wycieczki do Porąbki i zaczyna zwiedzanie Muzeum od targowania się o cenę wstępu i żądania wódki. Często przewodnicy muszą spełniać rolę policjantów i pilnować, by „szanowna" publiczność nie zostawiła na ścianach bunkrów napisów, nie powybijała szyb, nie uszkodziła eksponatów. A i bardziej wytworne wycieczki, nawet „reprezentacyjne" mogą wytrącić z równowagi przewodników swoim pośpiechem, za którym kryje się brak zainteresowania i trochę snobistyczne „spełnienie obowiązku". Sama byłam świadkiem, jak taka reprezentacyjna wycieczka ministerialna poganiała przewodnika, artystę malarza Brandhubera, którego objaśnienia nie były bynajmniej zdawkowe i stereotypowe, a gdyby go pociągnąć za język, byłby niewątpliwie niejedną ciekawą rzecz opowiedział. Skoro mu jednak ciągle zegarkiem w oczy świecono, więc pominął „Kanadę" z masowymi eksponatami i blok siódmy tak ciekawie ilustrujący Oświęcim artystycznymi produkcjami więźniów. Bez zobaczenia tych bloków tak ważnych z punktu widzenia muzealnego nie podobna wyrobić sobie właściwego obrazu Oświęcimia. No ale trudno, skoro panowie ministerialni się śpieszą, to na to nie ma już rady... Przypuszczam, że tak musiał sobie pomyśleć p. Brandhuber, żegnając wycieczkę. Z zagranicznych wycieczek najwięcej zrozumienia wykazują Czesi. Także i liczebnie biją oni inne narodowości, gdyż do tej pory przesunęło się ich przez Oświęcim 15.000.

Chcąc ułatwić i udogodnić wycieczkom zwiedzenie Muzeum, Zarząd zmontował gospodę i dom noclegowy, ale i tu zwiedzający nie są w porządku, jeżeli takich wycieczek nie zgłaszają naprzód.

Przewodników jest 12 pierwszej kategorii i 6 słabszych. Znajdują się wśród nich ludzie, mówiący obcymi językami, oczytani w literaturze obozowej, nie zdani wyłącznie na własne subiektywne impresje. Poza tym Zarząd dba o to, żeby przydzielać przewodników stosownie do poziomu i potrzeb zwiedzających, stąd to zainteresowanie na wartowni i zapytanie, które tak niepotrzebnie wyprowadziło z równowagi Jerzego Putramenta: „Kogo panowie reprezentują"!?!

Oczywiście, że trudno zaspokoić zawsze wszystkie wymagania zwiedzających: Jakaś paniusia chce koniecznie wiedzieć: „gdzie tu był dom publiczny?", ktoś inny oburza się: „gdzie te kości, piszczele, krew?", bardzo poważny i inteligentny pan z Warszawy twierdzi, że przewodnicy opowiadają „za sucho", że „nie widać u nich wzruszenia"... itp. O ile wypowiedzi i krytyka rzeczowa i spokojna, jest potrzebna, a nawet dla rozwoju Muzeum konieczna, trudno się zgodzić na to, żeby takie żądania można brać pod uwagę.

Część terenów obozowych (10 bloków) zajmują Salezjańskie Zakłady Wychowawcze, gimnazjum i liceum stolarskie i internat dla chłopców-sierot. — I to jest najpiękniejszy symbol zwycięstwa życia nad śmiercią, to jest żywy pomnik Oświęcimia.

Istnienie tych zakładów w pobliżu Muzeum dopełnia ideowo jego sens i cel. Poza tym chłopcy trzymani w ryzach nie są elementem niebezpiecznym i zakłócającym spokój Oświęcimia, a w niejednym mogą nie raz przyjść z pomocą.

Podobno istnieje projekt usunięcia tych zakładów, a osiedlenia w tych blokach rodzin polskich górników, przybyłych z Francji, a pracujących w Brzeszczu. Może jednak praktyczniej by było wybudować w Brzeszczu nowe bloki. Oszczędziłoby to górnikom trudu codziennych dojazdów do pracy, a Muzeum uwolniłoby od kłopotliwego sąsiedztwa. Trudno sobie bowiem wyobrazić, by sąsiedztwo szeregu rodzin, żyjących normalnym życiem z gospodarstwem domowym, z dziećmi, kołyskami i wózkami nie nastręczało wielu konfliktów z atmosferą grobów i cmentarza na terenie Muzeum. Problem ten jest już i tak trudny dla pracowników Muzeum, którzy też nie mogą i nie chcą żyć atmosferą obozu, choć za przewodników po nim służą. Wrócili do życia, cieszą się nim, są nawet radośniejsi i pogodniejsi od tych, którzy w obozie nie byli. Toteż ktoś przybywający na teren obozu może się gorszyć ich pogodą ducha i dziwić, że nie płaczą, nie rozpaczają, że mieszkają normalnie, piją herbatę i kawę, jak inni, zwyczajni ludzie. To są te różne skrzyżowania i sprzeczności nastrojów i uczuć, z którymi jednak organizatorzy Muzeum się liczą i ostre kanty tych sprzeczności wygładzają.

Praca w Muzeum oświęcimskim obliczona jest na daleką metę i idzie przede wszystkim po linii planowania olbrzymiego parku-cmentarza na terenie obozu Brzezinki. Drugim, bardzo ważnym zagadnieniem jest sprawa międzynarodowości. Widać usilne dążenie do tego, by Oświęcim był jak najprawdziwszym dokumentem historycznym, a nie stał się szowinistyczną placówką polskiej martyrologii, lecz by zachował charakter międzynarodowy. Występuje on w bardzo jeszcze zalążkowej formie. Jak dotąd, jedynie Czesi przygotowują u siebie eksponaty i materiały do swego bloku. O innych narodowościach jeszcze głucho, a przecież bez bloków, reprezentujących inne narody, Oświęcim stanie się polskim partykularzem i nie będzie dokumentem historycznym, nie uwypukli prawdy, że w Oświęcimiu cierpieli ludzie wielu narodowości.

Oczywiście nie są to zarzuty, lecz stwierdzenie faktów, o których Zarząd Muzeum dobrze wie i do zmiany których sam w miarę możliwości zmierza. Wydatki jednak są olbrzymie i przekraczają grubo budżet. Obok tych wszystkich trudności ideowych, organizacyjnych i finansowych są jeszcze inne, związane z zagadnieniem wywłaszczenia właścicieli 330 ha ziemi. Tereny obozu były bowiem własnością prywatną. Z powodu trudności finansowych, zagadnienie to nie zostało do tej pory rozwiązane.

W tych wszystkich trudnościach tak ideowych jak i techniczno - praktycznych, Muzeum powinno znaleźć pomoc i oparcie w życzliwej i szczodrej postawie społeczeństwa. Oświęcim jest naszą wspólną, nie zagojoną, palącą raną. Jest grobem naszych najbliższych. Wiatr rozwiał może ich prochy nad brzegami Soły, ale ostatnie krwawe ich chwile związane są z tym szmatem ziemi. Musimy oń dbać i troszczyć się pospołu. Nie możemy w postawie wyczekującej, z założonymi rękami patrzeć, jak w syzyfowym trudzie zmagają się ludzie, którzy ofiarnie wzięli na swoje barki to ciężkie i tak odpowiedzialne zadanie.

Poprzez Oświęcim wiedzie nasza droga do lepszego jutra, poprzez taki Oświęcim, z którego wyciągniemy dla siebie i innych narodów naukę, że zagubienie, zatrata człowieka wiedzie do zatraty narodu. Gdy tej sprawy dopilnujemy, będziemy mogli zostawić za sobą dni klęski.

Zofia Żorecka.

Przedsiębiorstwo państwowe
czy prywatne

O kogóż by mogło chodzić, ja nie... A właśnie że nie. Wprawdzie P.F „Film Polski" odgrywa w tym smutnym incydencie pewną rolę, ale nie ponosi w nim żadnej winy jako przedsiębiorstwo. Nie można też winić tu dyr. Olbrachta ani nawet samego dyr. Ziegelstreicha który kilka godzin później wydane w jego imieniu, ale bez jego wiedzy przez jakąś panią Burzyńską zarządzenie odwołał. Chodzi właśnie o tęż panią, która, trudno to inaczej określić, organizuje pokazy filmowe, przeznaczone dla prasy na zasadzie „klubu wzajemnej adoracji". Nie wiemy, jakie są warunki przyjęcia do tego „klubu", ale nam nie odpowiadają żadne. Nam, tj. redakcji „Odry", której przedstawiciele są zapraszani albo wypraszani w zależności od „widzijejsię" funkcjonariuszki państwowego — jakby nie było — przedsiębiorstwa.

Zresztą nie tylko „Odrę" spotyka ten los. Są inne pisma, które nie mogą pochwalić się wątpliwym zaszczytem sympatii urzędników tej i wielu innych instytucji. Ponieważ zaszczyt to rzeczywiście wątpliwy, a interes żaden, nie bronimy go, ale z przykrego obowiązku zajmujemy stanowisko w tej sprawie. Wydaje nam się, że na pokazach filmowch powinno znaleźć się miejsce nie tylko dla trzech stałych recenzentów filmowych i przyjaciół czy rodzin urzędników, ale również dla sześciu czy siedmiu literatów, jeśliby z tego przywileju chcieli skorzystać. (S)

Następny numer ‚Odry' poświęcony będzie w całości Mikołajowi Kopernikowi. Numer będzie bogato ilustrowany i przyniesie prace wybitnych uczonych polskich.

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Sp. Wydawn. „Czytelnik", Katowice 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08
R 18230